

Twórczość artystyczna uczniów V Liceum Ogólnokształcącego w Lublinie

Katarzyna Dziedzic Terg
Poezje
Lublin

Kinga Suchora

2013-09-27

Wydanie jubileuszowe- 65-lecie powstania szkoły

Katarzyna Dziedzic

TLRG

TE RG

Lucjan już dawno nie miał tak złej passy. Właściwie to nigdy nie miał złej passy. Nawet wtedy, gdy dopiero uczył się sztuki myśliwskiej. Od najmłodszych lat wykazywał talent w tej dziedzinie, lecz ostatnio szło mu bardzo słabo. Nie zdołał upolować nic, chociaż dzień w dzień próbował. Tego mglistego poranka również udał się na polowanie. Wstał przed wschodem słońca i z nadzieją w sercu powędrował w głąb puszczy. Odnalazł małą polankę i zaczął się na grubym, dębowym konarze. Sprawdził jeszcze raz cięciwę łuku i strzały. Pozostało tylko czekać w tej niezmaczonej niczym ciszy. Mgła powoli opadała. Serce Lucjana biło miarowo i szybko. Chłodne powietrze zmieniało jego oddech w obłoczki pary i tylko jedna myśl krążyła mu po głowie: „Uspokój się!”. Chłopak wziął kilka głębokich wdechów, starając się za wszelką cenę uzyskać maksimum skupienia. I oto jest. Na polanę wkroczył jeleni. Było to potężne zwierzę o rozłożystym porożu. Jego płowa sierść zdawała się lśnić w półmroku. Zwierzę stąpało z gracją i delikatnością. Był władcą lasu. Okazem pięknego i zdrowego ssaka. Lepsza zdobycz nie mogła się trafić. Lucjan bardzo powoli podniósł łuk. Naciągnął cięciwę, wycelował i zawahał się. Żał mu było tak wspaniałego zwierzęcia, lecz uczucie to minęło równie szybko jak się pojawiło. Znów celował w serce jelenia. Powoli i spokojnie przymierzał się do strzału. Niemal czuł jak jego źrenice rozszerzają się, by poprawić widoczność. Serce chłopaka zabiło mocniej. Porcja świeżej krwi dodała mocy i siły rękóm. Lucjan wziął głęboki wdech, a potem gwałtownie wypuścił powietrze z płuc równocześnie zwalniając strzałę z cięciwy. W tym samym momencie zwierzę musiał spłoszyć jakiś dźwięk i uciekło. Strzała chybiła o centymetry i utkwiała w ziemi.

— Co za pech — warknął Lucjan, uderzając pięścią w korę. Z cichym westchnieniem na ustach zeskoczył z konara. Wyciągnął strzałę z ziemi i przetarł grot rękawem. Szkoda mu było tak cennego dla niego przedmiotu. Od dawna utrzymywał się z myślistwa i była to tak naprawdę jedyna dziedzina, na której się znał.

— Na razie mogę jeść owoce, ale co potem? — zapytał sam siebie. — Przyjdzie mi chyba głodować tej zimy, ale teraz jazda do domu. Poprawił kołczan i ruszył w głąb ciemnej puszczy. Ludzie rzadko się tu zapuszczają, a już na pewno nie tak daleko jak on. Wszyscy obawiali się mieszkających tu stworzeń — wielkich i groźnych. Los skazał Lucjana na inną drogę. Przyzwyczał się do ciężkiego życia, którego rytm wyznaczał cykl natury. Nie wyobrażał sobie zmiany. Chłód poranka powoli ustępował promieniom słonecznym. Lucjan szedł rażno po wydeptanej przez zwierzęta ścieżce.

— Jest tak cicho.. nawet ptaki już nie śpiewają. Idzie jesień i to szybciej niż zwykle — mruczał sam do siebie, gdy przerwał mu cichy szelest. Wyteżył słuch próbując określić kierunek, z którego dochodził dźwięk.

— No dobra Shadow. Wiem, że tu jesteś. Wychodzisz z tych chaszczy — krzyknął. Biała wilczyca, wyraźnie oburzona na swojego przyjaciela, wyczołgała się z gęstwiny malin. Podeszła do Lucjana z cichym warkotem.

— Oj nie bądź taka obrażalska. Będzie mi potrzebna dzisiaj twoja pomoc — rzekł do niej, głaszcząc ją po grzbiecie. Wilczyca najwyraźniej ożywiła się i wtulona w nogi chłopaka, zaczęła ocierać się jak

mały kociak. Lucjan przykucnął. Shadow trąciła go kilka razy nosem i usiadła obok. Zupełnie jakby wiedziała, że ma jej coś do powiedzenia.

— Musimy upolować kilka zajęcy. Dzisiaj dzień „handlowy”. Pomożesz mi droga przyjaciółko? — spytał. W odpowiedzi wilczyca wywaliła jęzor i zaczęła głośno dyszeć. Lucjan spojrzął na nią z rozczarowaniem. Podrapał Shadow za uchem i z cichym westchnieniem wstał.

— Nawiazać z tobą kontakt, to jak rozmawiać ze zmarłym — wypomnił jej, za co został obdarzony bardzo głośnym szczeknięciem.

Lucjan kopał małe kamyczki, próbując zabić nudę. Zawsze musiał czekać. To rozdroże zawsze kojarzyło mu się tylko z czekaniem. Shadow też wyglądała na zniecierpliwioną. Leżała na brzuchu i przewracała oczami bacznie obserwując drogę. Do tego robiło się pochmurno. Wszystko wskazywało na to, że będzie dzisiaj padać.

— No nareszcie — mruknął Lucjan, gdy na horyzoncie ukazała się drobna, szpakowata sylwetka. Nie lubił Piera. Był on młodym chłopakiem, lecz wyglądał jak staruszek. Twarz zdobiło mu tysiące drobnych zmarszczek. Usta miał wąskie, a nos długi i haczykowaty. Głęboko osadzone oczy patrzyły na świat z ironią. Pier był sierotą. Utrzymywał się z drobnych robót. A to pomógł rozładować towar kupcom, a to sprzątał alejki w parku Lady Inaris, ale głównym jego zajęciem było pośredniczenie między Lucjanem a wioską. Przyjmował od ludzi zamówienia na mięso, przekazywał je Lucjanowi i na odwrót. Przynosił mu również zamówione przez niego towary i odbierał mięso. Lecz chyba ulubionym zajęciem Piera było dokuczanie myśliwemu i poniżanie go przy każdej możliwej okazji.

— Witaj odmienicze — rzekł na przywitanie, odsłaniając rząd białych zębów. Jak na taką łajzę miał je nieźle zadbane. Lucjan odpowiedział tylko skinieniem głowy.

— Oho. Coś nie w humorze jesteś? No tak, nie dziwię się. Znów tylko marne zajączki. Wiesz co ci powiem? Musisz dbać o klientów, Lucjanie. Mieszkańcy Drindwa wolą kupować mięso od Cervantesa. Jest lepsze, z większej zwierzyny no i Cervantes jest człowiekiem, a nie czymś takim jak ty. W Lucjanie zawrzało, mimo że był to nie pierwszy tego typu docinek jaki usłyszał z ust Piera. Gniew wypalił mu rumieniec na policzkach.

— Och przepraszam. Uraziłem? — rzekł „słodziutkim” głosem Pier. — Nie mam pojęcia, za co Lady Inaris tak cię lubi. Masz od niej nowe zamówienie. Ale uwierz, króliczek nie wystarczy. Nasza władczyni przyjmuje ważnego gościa. Ana pojutrze masz jej upolować jelenia, ale nie byle jakiego! Chyba, że...

— Dam radę — przerwał mu Lucjan. Zdziwiło go zamówienie lady Inaris, ale gniew był silniejszy

— Bierz gryzonie, daj pieniądze i zmykaj do osady. Wilczyca potwierdziła słowa chłopaka warknięciem. Trochę zakłopotany Pier rzucił mu sakiewkę.

— I powiadam naszą lady, że jej wola zostanie spełniona. Wciąż jestem jej poddany. — Lucjan przysunął się do twarzy Piera i spojrzawszy w jego świńskie oczka dodał: — Czymkolwiek bym nie był, zawsze jestem do jej usług. Pier był taki sam jak cała reszta mieszkańców Drindwa. Bał się go, a jednak był na tyle głupi, żeby z nim zadzierać.

— Jak sobie życzysz — odparł orli nos ze swoim ohydny uśmiechem. Lucjan stał na drodze, aż Pier zniknął za linią horyzontu. Dopiero wtedy zawołał Shadow i ruszył do domu.

— Chodź Shadow. Mamy zadanie do wykonania.

— *I tym razem nam się uda* — dodał w myślach.

Rosa była bardzo duża. I wcale nie pomagała. Już po chwili brodzenia wśród leśnego poszycia Lucjan był przemoczony. Do tego w powietrzu unosiła się wilgoć i mgiełka. Temperaturę powietrza można określić tylko jednym słowem – niska, a woda wzmacniała uczucie chłodu.

— *Okropne warunki* — pomyślał chłopak. Ręce miał zgrabięte. Mokre włosy przykleiły mu się do karku i twarzy. Shadow też nie wyglądała najlepiej, lecz sądząc po jej zachowaniu wcale jej to nie przeszkadzało. Nie chcąc stracić zaufania LadyInaris, Lucjan postanowił upolować jelenia. Chłopak wiele zawdzięczał tajemniczej i chłodnej władczyni Drindwa. Swą łaską ocaliła go od śmierci, a teraz pora spłacić dług. Wilczyca znieruchomiła i jeszcze raz dokładnie obwąchała powietrze. Z jej gardła dobiegł cichy warkot.

— No dobra Shadow. Prowadź. Pokażemy temu zwierzakowi, kto rządzi w tym lesie! — rzekł Lucjan i pobiegł za wilczycą. Nie może się teraz zawahać. Nie może się potknąć i nie robi tego. Zna tę puszcę jak własną kieszeń. Może godzinami mknąć między drzewami, bo żadna nierówność, kamyk, czy korzeń nie jest mu obca. To jego królestwo. Los go tu rzucił.

Pędził za białą kulką sierści, która w półmroku zdawała się świecić. Mógłby przysiąc, że czas się zatrzymał i nie istnieje nic innego prócz rozmażanej rzeczywistości. Sekundy zdawały się godzinami, pogrążony w ciszy las był martwą i pustą otchłanią. Aż wreszcie wyścig się skończył. On i wilczyca stanęli na skraju polany większej niż kiedykolwiek Lucjan widział. Słabe promienie słoneczne przedzierały się przez chmury. Mgła rzedła, ukazując oczom myśliwego jego ofiarę. Jak zwykle dostojny i piękny. Patrzył przenikliwym wzrokiem na swojego kata. Shadow zjeżyła sierść i warczała niecierpliwie. Chłopak nawet nie próbował jej uspokoić, zdając sobie sprawę z tego, że nie zdoła zatrzymać zdenerwowanej wilczycy. Wciąż wpatrywał się w jelenia. Trwali tak przez chwilę w niemej rozmowie. Zwierzę drgnęło. Lucjan powoli uniósł przygotowany wcześniej łuk. Długim i precyzyjnym ruchem nałożył strzałę na cięciwę. Wilczyca szczeknęła, a niemy las wypełnił się echem.

— Wybacz przyjacielu. Muszę to zrobić — szepnął Lucjan i wypuścił śmiertelny grot. Jeleń stał niewzruszony, nawet nie mrugnął. Wtem zza jego pleców na polanę wpadło rozpędzone stado. Łanie i młode jelenki pędziły jak smagane batem. Wielkimi susami pokonywały polanę, a gdy strzała dosięgła swego celu zapanował jeszcze większy chaos. Spłoszone zwierzęta rozpieczęły się po lesie. Jeleń spojrzał na myśliwego smutnym wzrokiem. Podszedł do martwego towarzysza-dwuletniego jelenka. Spoglądał na niego, to znów na Lucjana.

— Dziękuję przyjacielu — szepnął Lucjan, kłaniając się zwierzęciu. Jeleń parsknął, lecz również wykonał coś na kształt ukłonu. Stał jeszcze chwilę nad martwym jelenkiem, potem wielkim susem uciekł z polany i puścił się pędem za spłoszonym stadem. Nadal niespokojna wilczyca warknęła i popędziła za parzystokopytnym.

— Nie, Shadow! Zostaw! Wracaj! — krzyknął za nią Lucjan, lecz zwierzę całkowicie go zignorowało.

— Durny zwierzak... Mam nadzieję, że nie zrani jelenia ani siebie. Tylko tego, by mi jeszcze brakowało — ze smętnym westchnieniem chłopak podszedł do martwego zwierzęcia. Związał mu kończyny i zarzucił go sobie na kark. Do jego nosa wdarł się zapach potu, łoju i mchu.

— Całkiem, całkiem ten jelonek, nie ma co — rzekł sam do siebie, gdy oparł ciężar na karku.

Chmury coraz bardziej kłębiły się na niebie. Ciężkie od wody, zwiastował obfity deszcz. Lucjan szedł do swojej chaty pogwizdując. Nie miał zamiaru moknąć drugi raz. Rosa w zupełności nawilżyła jego skórę. Do tego ta część lasu nie należała do jego ulubionych. Zawsze taka cicha i opustoszała z niewiadomych dla chłopaka powodów. Zbliżający się deszcz i mroczne cienie drzew sprawiały, że Lucjan nie szczędził nóg i szybkim krokiem kierował się w stronę domu. Wkrótce do myśliwego dotoczyła wilczyca.

— No i co? Złapałeś swojego przyjaciela? — spytał zwierzę, które dreptało koło jego nogi z podkulonym ogonem, wyraźnie zawiedzione.

— Och znów masz te swoje humorki. Jesteś jak rozpuszczona panienka. Zachowuj się. W końcu należysz do wspaniałego i jakże rzadkiego gatunku — ciągnął Lucjan „naukowym” wywodem. Wilczyca warknęła i zaczęła szczekać donośnie. Wyszczерzyła kły i z krótkim warkotem rzuciła się na Lucjana. Tylko refleks uratował chłopaka od ugryzienia.

— Co jest Shadow! Aż taka obrażalska z ciebie psina!? — krzyknął chłopak, lecz wilczyca nie zwracała na niego uwagi. Dalej warczała, szczekała i ujadła niecierpliwie przestępując z łapy na łapę.

— Co z tobą? Co się... — nie zdążył skończyć Lucjan, gdyż przerwał mu huk walącego się drzewa i roślin wrywanych z korzeniami. Z gęstej leśnej roślinności, przypominającej dżunglę, gwałtownie wyłonił się Okoto. Wielki dzik, wysoki jak dwupiętrowy budynek i szeroki na co najmniej dwa domy, z kłami jak brzytwy. Rozwścieczony wydał z siebie kwik przypominający zgrzyt ostrza na szkle. Z pyska toczyła mu się piana, a olbrzymimi raciami rozorywał glebę.

Okoto był chyba jedną z największych bestii zamieszkujących puszcze. Jego potomstwo, bardzo dobrze radziło sobie z niszczeniem ludzkich płonów. Często też napadał je szal, z niewiadomych dla nikogo powodów. Niszczyły wówczas drewnianą palisadę chroniącą osadę. Wdzierały się do miasta tratując wszystko na swej drodze. Tak, jakby sama natura chciała powiedzieć ludziom, że są tu intruzami, których trzeba zniszczyć.

— O kurczę — mruknął Lucjan, który zamarł w miejscu. Shadow nadal szczekała i ujadła. Wielki dzik spojrzał na nich mglistymi oczami. Pochylił łeb do przodu wystawiając na pokaz kły. Chłopak szybko zdał sobie sprawę, że Okoto zaraz przystąpi do szarży. Już nie dziwił się zachowaniu wilczycy, sam miał chęć krzyczeć w niebogłosy.

— W nogi!!! — wrzasnął ni to do siebie, ni do Shadow i nie szczędząc nóg rzucił się do ucieczki w leśną gęstwinę. Biegł ile tchu w płucach. Gałązki drzew smagały go po rękach i policzkach, lecz nie zwracał na to uwagi, starając się nie zgubić jelenia. Shadow mknęła gdzieś obok niego. Okoto nie ustępował. Był jak wielki taran. Lucjan nawet nie chciał myśleć, co by się stało gdyby wpadł pod rozpędzoną tonę żywej masy. O ile w ogóle coś z niego by zostało.

— *Zaraz, zaraz. Gdzieś tu jest spora jama. Jeżeli uda nam się do niej wskoczyć, to Okoto nie zauważy jej i pomknie dalej* — myślał gorączkowo chłopak. Lecz myśli okazały się być dla niego zgubne, bowiem całkowicie zapomniał, że biegnie nie po ścieżce wydeptanej przez zwierzęta, lecz po leśnym poszyciu. Zaczepił nogą o wystający korzeń młodego świerku, w miejscu gdzie płynąca woda wypłukała ziemię zostawiając nagie pnącze. Lucjan upadł jak długi i uderzył twarzą w ziemię. Błoto weszło mu do oczu, oślepiając na chwilę. Ale ta chwila wystarczyła Okoto. Z rykiem uderzył kłębem w Lucjana. Refleks znów uratował chłopaka. Przetoczył się w jeżyny. Tysiące małych kolców wbiło mu się w ciało. Nie zważając na ból, rzucił z karku zdobycz i płynnym ruchem wyciągnął nóż zza cholewy buta. Tymczasem dzik zdążył wydobyc kiel z ziemi i znów gotował się do ataku. Nagle między nim, a Lucjanem błysnęła biała kulka. Shadow rzuciła się na Okoto, gryząc boleśnie zwierzę w bok. Jeszcze bardziej rozwścieczony dzik dał wilczycy wielkiego kopniaka. Ta, z piskiem przeturlała się kilka metrów dalej i uderzyła głuchą w ziemię. Lucjan wykorzystał chwilę zamieszania i zwinnie jak małpa wdrapał się na drzewo. Pewnym skokiem znalazł się na grzbiecie Okoto. Mając do dyspozycji krótki nóż nie był w stanie przebić się przez warstwę tłuszczu i uśmiercić bestii, lecz mógł przeciąć skórę i boleśnie zranić zwierzę. Zadał jej trzy krótkie cięcia w kark. Trysnęła krew, brudząc i tak poranioną przez kolce twarz Lucjana. Podczas wcześniejszego upadku pękły mu naczynia krwionośne w nosie. Strużki krwi zalewały mu twarz i utrudniały oddychanie. Wściekły Okoto nie dawał za wygraną. Rzucił chłopaka z grzbietu. Ten zamortyzował upadek i szybkim ruchem stanął przed dzikiem z wyciągniętym ostrzem. Z jego nozdrzy

wydobywała się para. Parsknął gniewnie. Powietrze zrobiło się jeszcze gęściejsze i chłodniejsze. Zaczynało mżyć.

— Odejdź! — krzyknął Lucjan wciąż trzymając wyciągnięty nóż. Łuk i strzały pewnie się połamały podczas upadku, ale i one na niewiele by się tu zdały.

— Odejdź- powtórzył chłopak. — Wracaj skąd przyszedłeś! — Lucjan za wszelką cenę starał się, by jego głos brzmiał silnie i ostro, lecz emocje sprawiały, że lekko drżał. Chłopak szczerze wątpił, by jego przemowa przekonana Okoto, lecz przynajmniej dała mu chwilę czasu, by opracować plan dalszego działania. Shadow skomlała z bólu gdzieś z boku. Okoto wyglądała na zaniepokojonego. Powoli jego wzrok przestawał być szalony i gniewny.

— Masz wiele odwagi Lucjanie, wnuku Denethrona, skoro podejmujesz się walki z przeciwnikiem o wiele od ciebie silniejszym — odezwał się niespodziewanie dzik. Jego głos, niski i donośny, wibrował w powietrzu, wprawiając w drżenie każdą część ciała Lucjana.

— Wiem, że nie mam szans w walce z tobą, ale kim bym był gdybym nie bronił życia swojego i mojej przyjaciółki wilczycy. Dlaczego nas napadłeś? Nie złamałem żadnego prawa puszczy — odparł Lucjan wciąż drżącym głosem.

— Nie chciałem was krzywdzić — rzekł dzik z nutą gniewu w głosie. Są takie uczucia, które przerastają wielkością nawet kogoś, takiego jak ja. Jeżeli pozwolisz im się ogarnąć, zniszczą cię. Nie jestem już w stanie panować nad sobą. Puszcza jest coraz mniejsza i coraz mroczniejsza... Nigdy nie pozwól jej pochłonąć twoich myśli, bo inaczej staniesz się taki sam jak my i nikt, ani nic cię nie powstrzyma. Stoczysz się w otchłań, której ściany są zbyt gładkie, by się z niej wydostać. Uważaj na puszcę, Lucjanie Lighlawet. Powiedziawszy to, dzik odwrócił się i pognął w głąb mrocznego lasu. Deszcz zaczął padać już na dobre. Lucjan jeszcze przez długą chwilę stał jak wryty z wyciągniętym nożem. Powoli uchodził z niego strach i spływał po ciele, wraz z kroplami deszczu.

— Shadow — szepnął i rzucił się do leżącej wilczycy. Cały lewy bok zwierzęcia był we krwi. Rozcięcie było szerokie, sine i opuchnięte. Chłopak szybko wykonał prowizoryczny opatrunek, pozbiierał zniszczoną broń i zarzucił na swój kark martwego jelenia. Najdelikatniej jak tylko potrafił wziął na ręce nieprzytomną wilczycę i powoli poszedł w kierunku domu. Padający deszcz okrył go delikatną mgiełką, zupełnie jakby chciał dodać mu otuchy.

Deszcz padał i padał. Nic nie zapowiadało, że w najbliższym czasie przestanie. Lucjan stał znów na rozdrożu. Nasmarowany tłuszczem płaszcz chronił go przed wiatrem i kroplami deszczu. Pier jak zwykle się spóźniał. Chociaż w taką pogodę mógł się pośpieszyć. Lucjan chciał już wrócić do swojej leśnej chaty. Ogrzać się przy ogniu i posiedzieć przy Shadow. Opiekował się ranną tak, jak tylko potrafił. Opatrzył ranę, a wilczyca odzyskała przytomność. Nawet wypita trochę wody, lecz następnego dnia nie obudziła się. Wdało się zakażenie, zwierzę dostało gorączki. Lucjan nie był ekspertem, ale robił co mógł, by ją wyleczyć. Zostawił wilczycę w domu i poszedł na rozdroże sam. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak cenna jest dla niego obecność pełnej energii Shadow. A teraz stał sam, jak zmkła kura. Kropelki wody ściekały mu z mokrej grzywki i kapały na płaszcz. Chłopak uświadomił sobie, że to nie tylko deszczowe krople spływają mu po twarzy.

— Witam zmkłą kurę — wyrwał go z rozmyślań głos Piera. — No, no — rzekł patrząc na młodego jelenia. — Całkiem, całkiem, ale módl się, żeby ten twój jelonek posmakował doktorzynie. — Lucjan nie słuchał paplania Piera. Nagle jednak do jego świadomości dotarły słowa mężczyzny. Gwałtownie chwycił Piera za kołnierz i przyciągnął jego twarz do swojej, tak blisko, że niemal dotykali się nosami.

— Co żeś powiedział łajzo? — warknął przez zaciśnięte zęby. Co to za gość, którego przyjmuje lady Inaris? Mów!!- przerażony Pier gapił się na Lucjana.

— T...o...to... znachor. Sprzedawca lekarstw...wędrowny sprzedawca lekarstw.

Wykształconych ludzi na świecie zostało mało, bardzo mało. Każdy lekarz był na wagę złota. W Drindwie jak i w wielu innych wioskach nie było doktorów, a i sami znachorzy nie osiedlali się tu zbyt często. Wędrowali ze swoją świtą, od osady do osady. Pławili się w luksusie. Większość z nich wcale nie przejmowała się losem ludzi. Dbali tylko o własny interes, którym było ciągłe bogacenie się. Mimo to traktowano ich ja królów, a może nawet lepiej.

— Lekarz... — mruknął Lucjan, puszczając Piera. Poślaniec gapił się przez chwilę na Lucjana, lecz ten tylko warknął: — Bierz mięso i spadaj. Pier posłuszny jak nigdy od razu zabrał się do roboty.

—A i oddawaj sakiewkę — dodał chłopak widząc, że Pier chce się od razu oddalić. Trochę rozczarowany poślaniec oddał pieniądze i szybkim krokiem odszedł. Lucjan czekał jeszcze chwilę, aż ten zniknie z horyzontu i również poszedł, lecz nie w stronę domu, ale wprost do osady.

Deszcz padał delikatnie stukając w dach Domu Kobiet. Młoda dziewczyna siedziała na tarasie, wpatrując się w pogrążony w deszczu ogród. Kropelki pluskały w sadzawce, a mokre rośliny chyliły się ku ziemi. Już dawno nie padało, więc życiodajna woda była dla roślin zbawienna i koła ich umęczone słońcem łodygi i liście. Dziewczyna jeszcze chwilę patrzyła na ogród. Potem szybkim ruchem związała swoje długie włosy w koński ogon. Chwyciła do ręki mandolę bogato zdobioną w roślinne ornamenty. Delikatnie trąciła struny instrumentu. Popłynęła melodia. Lekka i delikatna piosenka zlewała się z dźwiękiem padającego deszczu, tworząc z nim niezwykłą harmonię. Dziewczyna ogarnęła ogród melancholijnym spojrzeniem zielonych oczu i zaśpiewała srebrzystym głosem:

*Błękitne niebo spowił cień,
I cisza ogarnęła świat.
Złocisty deszcz, dobry deszcz
Otulił dachy miast.
O dobry deszcz! Srebrzysty deszcz!
Otulił dziś mój strach
I obmył ten
Spowity kurzem świat.
Ach zapach ten
Co deszcz go niósł!
Jak wonny, polny kwiat
Kochanku mój!
Nie lękaj się! ..*

— Bo dobry deszcz ukryje ślady ... — dokończył pieśń spokojny głos. Dziewczyna obejrzała się, lecz była sama na tarasie. Wtem z dachu prosto na ziemię zeskoczył długowłosy chłopak.

— Lucjan!! — krzyknęła. — Co ty tutaj robisz! —dodała rzucając się w objęcia myśliwego.

— Jak ktoś cię znajdzie to...

— O, jak będziesz tak dalej krzyczeć siostrzyczko, to na pewno mnie znajdą — rzekł rozpromieniony. — Już dawno tutaj nie byłem... z siedem lat będzie jak mnie...



—Osiem — poprawiła brata dziewczyna. Osiem lat jak rozdzielono mnie z moim bratem bliźniakiem.... Lucjanie co cię tutaj sprowadza? Wiem, że to nie byle zachcianka. Nigdy byś tu nie przyszedł, gdyby powód nie był ważny. Co się stało? Twoja twarz przypomina jeden wielki strup. — Lucjan odruchowo dotknął podrapanej jejżymami twarzy.

— Shadow jest chora — rzekł smętnie chłopak.

— Shadow? A ... to ta wilczyca? — spytała dziewczyna.

— Tak Mirime, wilczyca. Mieliliśmy wypadek podczas polowania i ... ale to teraz nieważne. Podobno w mieście jest znachor. Wiem, że przyjdzie do Domu Kobiet, więc pomyślałem, czy nie wyciągnęłabyś od niego jakiegoś lekarstwa na zakażenie?

— Mam ukraść lek? O nie braciszku! — zaprotestowała dziewczyna — Już nie jestem taka! Nie mam zamiaru wracać do przeszłości! Dom Kobiet, to miejsce gdzie uczą nas dobrego wychowania. Służymy Bogu i sztuce! I na pewno....

— Nie chcę, żebyś kradła, tylko kupiła — zaprotestował Lucjan wciskając jej w dłoń sakiewkę. — Spróbujesz?

— A mam inne wyjście? — spytała ironicznie Mirime. Między rodzeństwem zapadła cisza, którą wypełniał tylko stukot kropel o dach. Dziewczyna spojrzała smutno na brata.

— Zmieniłeś się — rzekła prawie niedosłyszalnym szeptem. — Wydoroślałeś. Mam nadzieję, że żyje ci się dobrze i że... że — głos ugrzązł jej w gardle. Lucjan objął i przytulił siostrę, a łzy dziewczyny spływające powoli po jej policzkach wsiąkały w jego przemoknięty płaszcz.

— O czym oni tak długo rozmawiają?

— Cicho! Chyba nie chcesz, by Starsza nas usłyszała?! Zrobiłaby nam taką awanturę.

— Ale ja chcę go zobaczyć — jęknęła, któraś z dziewcząt.

—Cicho! — dopiero stanowczy głos Mirime uspokoił zniecierpliwione dziewczęta. Pojawienie się w Domu Kobiet mężczyzny było sensacją. Dziewczyny mieszkały tu od urodzenia, więc nigdy wcześniej nie widziały przedstawiciela płci przeciwnej. Lekarze, którzy przybywali do Drindwa raczej nie zwracali uwagi na Dom Kobiet. Woleli przedstawiać swoje towary możliwym, bo był to łatwy i duży zysk. Dlatego też przybycie tutaj medyka wywołało niemałe poruszenie. Pani Starsza zaprosiła gościa do swych komnat, a uczennice miały pozostać w kwaterach.

— Ja już nie wytrzymam — krzyknęła Hiacynta najmłodsza i najbardziej żwawa z uczennic.

— Nie pchaj się! — pisnęła któraś z dam i wszystkie przewróciły się na siebie, zrywając przy tym wielką kotarę, za którą się ukrywały. W tym samym momencie skrzypnęły drzwi komnaty Starszej. Prerażone dziewczęta rzuciły się do ucieczki robiąc więcej hałasu niż stado słoni. Mirime, która została boleśnie podeptana przez swoje koleżanki szybko wskoczyła za drugą kotarę i zastygła w bezruchu.

— Co się tu dzieje? — zagrzmiał głos pani Starszej. — Głupie dziewczuchy! — dodała widząc porwany materiał. — Bardzo za nie przepraszam. Dopilnuję, by otrzymały karę — tu zwróciła się do gościa czyniąc głęboki ukłon.

— Nie ma takiej potrzeby. Z wielką chęcią poznałbym pani podopieczne — do uszu Mirime dobiegł głos medyka. Już po jego barwie można było poznać, że to młody i stanowczy mężczyzna. Było w nim coś, co sprawiło, że dziewczyna zapragnęła go zobaczyć. Zaczęła powoli pochylić się ku brzegowi materiału, lecz zdrowy rozsądek powstrzymał ją przed ujawnieniem się.

— Ależ to niemożliwe. Każda z uczennic ślubuje, że nigdy nie spojrzy na mężczyznę.

— Cóż za dziwny zwyczaj. Podróżowałem po całym świecie i nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Ale, czy zakazany owoc nie kusi pani podopiecznych jeszcze bardziej? Chociaż... wie pani co? Każda z nich już kiedyś widziała mężczyznę. To ojciec, który je tutaj przyniósł. Widziały, choć nie pamiętają — przerwał Starszej medyk. — A teraz pozwoli pani, że opuszczę już Dom Kobiet. Czekam na jeszcze wiele spotkań. Miło mi było poznać — i chwyciwszy dłoń Starszej ucałował jej spód. Onieśmielona kobieta zarumieniła się jak panienka.

— Ale to ja...

— Dam sobie radę. Nikt nie musi mnie odprowadzać — rzekł mężczyzna. Jego kroki zadudniły o posadzkę niebezpiecznie blisko kotary. Mirime wstrzymała oddech. Medyk zwolnił krok przy tkaninie i odwrócił głowę w jej stronę. Cień padający na kotarę był coraz bliżej i bliżej. Medyk chwycił za brzegi tkaniny i zaczął ją odchylać. Serce dziewczyny zamarło, a pot wystąpił na czoło. Przywarła mocno do ściany i o mało nie krzyknęła, gdy zimny mur dotknął jej rozgrzanego ciała. Zaraz zostanie zdradzona. Mężczyzna przeciągnął dłoń w dół gładząc brzeg kotary i puścił ją.

— Bardzo dobry materiał-italski? — spytał stojącej jak wryta Starszej

— E... tak. To italska wełna.

— Ohm. Ciekawe — mruknął medyk i skierował się w stronę wyjścia, a Mirime wciąż próbowała złapać oddech

— *O nie. Tak łatwo ci nie pójdzie. Ja to nie Starsza* — pomyślała i nie zwracając uwagi na przewodniczącą wybiegła zza kotary w ślad za medykiem. Minęła główny korytarz, który prowadził do wyjścia i szybkimi susami pokonała schody. Wpadła jak burza do komnaty przeznaczonej dla starszych uczennic. Siedziały tam dziewczęta, które jeszcze przed chwilą uciekały przed Starszą.

— I co, widziałas go? — spytała Hiacynta, lecz Mirime nie słuchała. Stała już na brzegu otwartego na oścież okna. Spojrzała w dół. Do ziemi było pięć metrów.

— *Jak to mówi Lucjan?* — pomyślała — *Odpnę się.*

— Co chcesz zrobić... — zaczęła Hiacynta, lecz Mirime już wyskakiwała z okna. Usłyszała tylko pisk dziewczyn dobiegający zza okna. Upadek był bolesny, ale dzięki rozluźnionym mięśniom dziewczyna niczego sobie nie złamała. Zwinnie podniosła się i znów szaleńczo pognała alejką.

— Mirime! — krzyknęła za nią Hiacynta, wychylając się przez okno. — *Jejku! Nie rozumiem tej dziewczyny* — westchnęła widząc ją pędzącą. Tymczasem Mirime biegła dalej. Przystanęła za wielkim pnem jaworu. Złapała kilka głębokich oddechów. Medyk właśnie wychodził z Domu Kobiet. Dziewczyna szybko nasunęła kaptur dziękując opatrności, że wpadła wcześniej na pomysł przysycia obszernego materiału do sukni. Nasłuchiwała. Kroki medyka chrzęściły na żwirze, stając się coraz głośniejsze i głośniejsze.

— *Teraz!* — krzyknęła w myślach i szybko wyskoczyła zza pnia zagrządzając drogę przybyszowi.

— Stój! — rzekła stanowczo, starając się nie podnosić głowy, by kaptur zasłaniał jej twarz. Medyk nie wyglądał na zdziwionego ani zaskoczonego. Założył ręce i rzekł:

— No proszę. Lubimy się bawić w chowanego. Ty pewnie chcesz zobaczyć mężczyznę. Uparta z ciebie sztuka. — W Mirime zawrzało na dźwięk pogardliwego tonu wypowiedzi.

— Stój — powtórzyła z nieukrywaniem zdenerwowaniem, gdy mężczyzna chciał ją wyminąć — Nie obchodzi mnie twój wygląd, mam inny interes — dziewczyna wyciągnęła sakiewkę. — Pewnie masz złota pod dostatkiem, ale tak, czy inaczej chcę pohandlować. — Lekarz zaciekawił się. Spojrzał badawczo na dziewczynę gładząc kciukiem swój policzek. Nawet w obszernej sukni wydawała się zgrabna i gładka, z wydatnymi kobiecymi kształtami. Kaptur zakrywał całą jej twarz, lecz spod materiału wystawały pukle orzechowych włosów.

— Może zaciekawiła mnie twoja propozycja. Przejdźmy się — rzekł spokojnie.

— Nie! Tutaj będziemy rozmawiać — odparła zdenerwowana Mirime w nadziei, że głos jej nie drży. Medyk znów zlustrował ją spojrzeniem.

— Zgoda. Czego ode mnie oczekujesz?

— Lekarstwa na gorączkę.

— Nie wyglądasz na chorą, na cóż ci zioła? A tak. Przecież potraficie wytwarzać podstawowe lekarstwa. Uczycie się tu o ziołach... z tego co mi wiadomo.... więc pytam... po co ci lekarstwo?

— Nie, ja nie jestem chora — rzekła z irytacją. Denerwowała ją pewność siebie medyka i to, że tyle wiedział o sekretach Domu Kobiet. Czyżby Starsza mu powiedziała?

— To dla znajomej... a zioła, które są mi znane nie pomagają — dodała widząc jak mężczyzna znów otwiera usta, by coś powiedzieć.

— A więc to jakieś zakażenie?

— Możliwe. Ona jest ranna... miała wypadek, lecz nie o to pytałam. Sprzedasz mi stosowny lek? — zniecierpliwiona prawie wykrzyczała ostatnie słowa.

— Nie...

— Ale dla...

— Nie — przerwał dziewczynie. — Nie znam przyczyny gorączki. Mówisz że to rana, więc bez zobaczenia jej i zbadania nie mogę stworzyć odpowiedniego leku. Pokażesz mi swa przyjaciółkę? A tak, nie ma jej tu...

— Skąd wiesz? — spytała Mirime próbując ukryć zdziwienie.

— Starsza od razu, by mi powiedziała. Nie sądzisz? W takim razie, gdzie jest ta twoja siostra?

— Nie ma jej tu — szepnęła po chwili Mirime, a głowa opadła jej z rozczarowania.

— Więc, nie mogą ci pomóc — rzekł medyk. Mirime zadrżała. Obecność tego mężczyzny sprawiała, że traciła całą pewność siebie i swą zuchwałość, co bardzo ją irytowało. Nagle medyk dotknął skraju kaptura tuż przy jej policzku.

— No proszę — rzekł gładząc materiał kciukiem. — Italska wełna. Ciekawe co kryje ta „kotara” — dodał i zerwał kaptur z głowy Mirime. Spodziewał się tego, co zawsze — oblanej rumieńcem wstydu, przerażonej, patrzącej błędnym wzrokiem pięknej dziewczyny. Nie pomylił się tylko co do jednego — była piękna, lecz z jej oczu biły hardość i chłód, a zielone tęczęwki tylko potęgowały uczucie zimna. Nie. To nie ona spuściła wzrok, lecz on nie mogąc znieść głębi jej spojrzenia, które przeszywało go jak sztylet. Dla Mirime medyk był zagadką, lecz wiedziała, że coś jest nie tak. I choć szybko spuścił wzrok i odszedł, to ona wciąż miała przed oczyma tego młodego, mężczyznę o oczach koloru grzanego piwa, ostrych rysach twarzy, cienkim nosie i słomianych włosach, nigdzie niespotykanych w tych stronach, przez co tak obcych... i miłych.

Drindwo to jedno z mniejszych miast-osad, lecz może poszczycić się czymś rzadko spotykanym, mianowicie tym, że włada nim kobieta. Lady Inaris nie pochodziła ze szlacheckiego rodu, jednak szlachetności nie można było jej odmówić. Nie brakowało jej urody, choć nie uchodziła za wzór piękności. Rządziła twardą ręką, dzięki czemu zdołała utrzymać władzę.

Dwór — o ile ten zwykły, drewniany budynek można tak nazwać- znajdował się we wschodniej części miasta. Była to piętrowa budowla przypominająca góralską chatę. Dach miała strzelisty, od frontu znajdował się obszerny ganek, na którym Lady odpoczywała w letnie wieczory. Na tyłach posiadłości znajdował się mały warzywniak i ogród kwiatowy. Z bocznych drzwi wydobywały się obłoki gęstej pary, roznosząc ze sobą smakowite zapachy. W dworskiej kuchni panował zaduch i tłok. Szykowano ucztę. Kawałki soczystego mięsa piekły się na rożnie, a wpadający do płomieni tłuszcz syczał przyjemnie. W wielkim garnku gotowano aromatyczną zupę. Dojrzałe warzywa i owoce układano na półmiskach i talerzach. Służba biegła po pomieszczeniach nosząc obrusy i krzesła. Stół ozdobiono buketami świeżych, polnych kwiatów. Wszystko miało być dopięte na ostatni guzik. Z tego właśnie słynął dwór Lady Inaris. Władczyni

cenila sobie porządek, stateczność, tradycję. Zasad przestrzegała z surowością i wręcz pedantyczną dokładnością. Te cechy pozwoliły jej utrzymać władzę, ale również zyskać sympatię poddanych.

Zapadł chłodny, ale bezchmurny zmierzch. Lady Inaris postanowiła przyjąć gościa w obszernej komnacie na parterze. Jak zwykle nie mogła doczekać się spotkania ze światowcem. Bardzo lubiła opowieści o dalekich krainach i marzyła o podróżach. Medyk mógł więc jej wiele opowiedzieć. Oliver Terg—bo tak na imię miał lekarz-okazał się jednak mało wylewny, choć może był po prostu zmęczony podróżą. Lady liczyła na to, że porządny posiłek i wino rozplączą język jej gościa.

— Wasza wysokość — rzekł blondyn, kłaniając się damie.

— Witam zacnego gościa... Ponownie — odparła z gracją Lady. — Zapraszam do stołu. — Młodzian zajął miejsce w jednym jego końcu, a Lady Inaris w drugim. Podano przystawkę i wino.

— Pozwoli pani, że wzniosę toast za gospodynię — rzekł medyk uśmiechając się znad kielicha. — Pani zdrowie!

— Panie Terg — powiedziała Lady odstawiając kielich. — Wielu medyków przybyło już do mojego miasta, lecz nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak pan.

— Cóż masz na myśli, pani? — odrzekł Oliver przełknąwszy kęs ryby.

— Nie potrafię pana rozgryźć — rzekła jedząc pomidorka koktajlowego. Popatrzyła wyzywająco na medyka. — Co jest celem pańskiej wizyty? — pytanie zawisło w powietrzu. Oliver poglądził kciukiem policzek.

— Mym celem jest podróż. Nic więcej — rzekł po chwili. — Sprawy ludzi w sumie mnie nie obchodzą, jednak w pewnym stopniu jestem od nich uzależniony.

— Jak każdy — z ironią odparła Lady wykrzywiając przy tym usta. Zapadło milczenie, przerywane dzwonieniem sztućców o talerze. Podano zupę.

— Coś pan jednak ukrywa — odezwała się gospodyni, by przerwać niezręczną atmosferę. Olivier niewzruszony jadł dalej zupę, zupełnie jakby rozważał w myślach słowa władczyni.

— Nie wierzy pani w to, że ktoś z czystej przyjemności przemierza świat spełniając swe marzenia? — spytał.

— Nie na tym świecie.

— Co ma pani na myśli?

— Zbyt tu niebezpiecznie. Dobrych dróg mało, złodzieje i buntownicy włączają się po szlakach i traktach, a teren jest trudny do pokonania. Bagna, dzikie ostępy, mroczne i nieprzebyte puszcze... Nie panie, Oliver ludzie wolą siedzieć w domach i pilnować swych spraw ze strachu. Podróżują z przymusu, nie przyjemności. — Medyk spojrzał badawczo na Lady. Była to dość zgrabna kobieta. Nosila proste, schludne ale podkreślające jej rangę ubranie. Twarz miała okrągłą. Z jej migdałowych oczu biła inteligencja, ale również niemałe zmęczenie. Siedziała prosto, dumnie zadzierając podbródek jakby chciała całą swą postawą pokazać, że nie jest byle kim. Ręce, mimo młodego wieku miała pomarszczone, naznaczone ciemnymi plamami atramentu, który przez lata wtarł się w jej skórę. Widocznie dużo czasu spędzała z piórem w ręku.

— Więc według pani nie jestem człowiekiem? — spytał nagle Oliver, a w jego oczach mignęły dziwne isierki.

— Szaleńcem. Tak bym to raczej ujęła — odparła Lady z lekkim uśmiechem na ustach. Po twarzy medyka przemknął cień uśmiechu.

Podano główne danie — pieczoną dziczyznę. W sali znów zapadła cisza. Oliver raz po raz rzucił władczyni badawcze spojrzenia, by znów całą swą uwagę skupić na posiłku.

— Nie odpowiedział mi pan jeszcze na moje pytanie — przerwała ciszę Lady Inaris — Czyżby był to pański sekret? A może tajemnica, której nie może pan nikomu zdradzić, bo wisi nad panem groźba śmierci?

— Nie, nie jestem żadnym szpiegiem, jeżeli o to chciała pani zapytać.

— A może jednak nim pan jest, skoro tak łatwo odgaduje moje myśli? — widząc z jakim opanowaniem Lady rzuciła mu słowa w twarz, medyk tylko prychnął.

— Ciekawe rozumowanie. A nawet jeżeli jestem pani wrogiem, to miałem już wystarczająco dużo czasu na wypełnienie mojego zadania.

— Racja — westchnęła Lady. Proszę przyjąć moje przeprosiny za te niedorzeczne oskarżenia.

— No proszę. Wielka Lady Inaris prosi o przebaczenie zwykłego włóczęgę — odpowiedział medyk dziwnym tonem, przez co jeszcze trudniej było zrozumieć intencje jego słów. Nie miał pani za złe, że traktuje mnie pani z podejrzliwością. Pozycja nauczyła panią ostrożności... Przesadnej ostrożności. Z jednej strony to dobrze, ale...

— Ma pan rację. — Rozmowę przerwało wniesienie na stół różnorodnych wędlin, serów, sałatek, galarety z nóżek. Oliver kładł na swój talerz duże porcje, a potem pochłaniał je niemal łapczywie. Lady Inaris kroiliła sobie małe porcje i przeżuwała powoli. Czas biegł powoli. Świece wypaliły się w jednej czwartej swoich wielkości. Ciszę wypełniła muzyka świerszczy, która wpadała do sali przez otwarte drzwi wraz z lekkim wiatrem. Na niebie rozbłysła tarcza księżycy.

— Więc jaki jest cel pańskiej podróży?

— Nie daję pani za wygraną, co? — odpowiedział medyk z uśmiechem na ustach. — Uparta sztuka...

— Ja nazwałabym to zwykłą docieklivością — Lady również się uśmiechnęła. Popatrzyła z nieukrywaną ciekawością na Olivera. Medyk spuścił wzrok, potarł kciukiem policzek analizując w myślach sytuację.

— Szklane miasta — odpowiedział niespodziewanie. Salę wypełnił śmiech Lady.

— A już myślałam, że powie pan w końcu prawdę... Ale to jest prawda — dodała po chwili widząc opanowanie na twarzy gościa. — Nie sądziłam, że ktoś z pana inteligencją wierzy w te bajki, którymi bawi się małe dzieci...

— Niech pani myśli co chce, ale ja w to wierzę — odpowiedział z powagą medyk.

— I znalazł już pan jakieś?

— Nie, ale czuję, że niedługo jedno z nich odnajdę.

— Pan wybaczy, ale nie do końca rozumiem pańską motywację. Naraża pan życie dla legendy?

— Spełniam swoje marzenia... — medyk spojrzał w oczy władczyni. — Pani też chciałaby to wszystko rzucić i pojechać na drugi kraniec świata — dodał ścisłym głosem. Lady Inaris otworzyła usta, by coś odrzec, ale zaraz je zamknęła. Spuściła wzrok i zaciśnęła usta.

— Może i ma pan rację... — zaczęła mówić podnosząc wzrok na gościa, ale ten nagle znalazł się kilka centymetrów od jej twarzy. Stał oparty ręką o stół i patrzył w oczy Lady. Jego tęczyówki zwęziły się gwałtownie.

— Pani się nie martwi — rzekł niemal szeptem. — Nigdy do tego nie dojdzie — nachylił się i pocałował dłoń zdumionej Lady wciąż nie odrywając wzroku od jej twarzy.

— Dziękuję za miłą kolację. Dobranoc. — Powiedziałwszy to odwrócił się na pięcie i szybko opuścił salę zostawiając zaskoczoną kobietę sam na sam z jej wzburzonymi myślami.

Oliver opuścił salę i ruszył w głąb korytarza oświetlonego kagankami. Wszedł po drewnianych schodach na poddasze, gdzie znajdowała się jego kwatera. Drewno zaskrzypiało pod jego ciężarem. Otworzył drzwi, które również wydały przeraźliwy dźwięk. Wszedł do środka pomieszczenia. Lekki wiaterek wpadł przez otwarte drzwi balkonowe. W pokoju byłoby całkiem ciemno, gdyby nie mocna poświata księżycy w pełni. Coś jednak było nie tak. Mężczyzna rozejrzał się po komnacie. Wszystko leżało tak, jak zostawił, mimo to rosnęło w nim poczucie niepokoju. Było

bardzo cicho. Zbyt cicho... Oliver napiął mięśnie gotowy w każdej chwili do obrony. Chwycił za rękojeść noża. Cisza ogarnęła jego zmysły. Wtem przed twarzą spłynęła mu kropelka wody. Spadała powoli, a powietrze wokół niej zdawało się wibrować. Gdy kropla uderzyła o podłogę rozbryzgała się wywołując kakofonię dźwięków. I w tej chwili Oliver rozproszył się. Trwało to ułamek sekundy, lecz wystarczyło. Szybkie szarpnięcie powaliło go na podłogę. Oliver unieruchomiony ciężarem napastnika z trudem złapał oddech. Szybkim ruchem wyślizgnął się spod napastnika i przeturlał po podłodze. Nóż wbił się centymetr od jego twarzy, gdy przeciwnik zaatakował ponownie. Kopnął go mocno w kolano i skacząc na równe nogi wyciągnął nóż. Zbir stękając głucho również odskoczył w bok trzymając obnażoną broń. Uderzyli jednocześnie, a ostrza zaświstały w powietrzu. Blask księżyca odbijał się w gładkiej powierzchni metalu, zamieniając noże w dwa wirujące promienie. Wtem napastnik zmuszony do oparcia się na obolałej nodze zachwiał się. Oliver wykorzystał szansę. Wytrącił nóż z dłoni przeciwnika i odepchnął go. Zbir upadł na łóżko. Oliver znów zamachnął się, by go unieruchomić, lecz napastnik zablokował rękę medyka. Oliver upadł na męczyszynę. Zaczęli się siłować i turlać po łóżku. Nagle powierzchnia mebla skończyła się i upadli na podłogę.

— Auć — jęknęli obydwa leżąc obok siebie, plecami na parkiecie. Oliver zareagował szybciej. Zerwał się na równe nogi i znów upadł, gdy przeciwnik przetrącił mu nogę. Zbir zwinnie skoczył na belkę pod samym dachem i zamarł w bezruchu. Medyk w lot pojął intencje napastnika i pierwszy skoczył w kierunku leżącego noża. Mężczyzna jednym susem znalazł się tuż przed nim i to był jego błąd. Oliver zwinnym ruchem uderzył go w splot słoneczny i przydusił do ściany. Obydwa byli zmęczeni. Napastnik łapał szybkie i krótkie wdechy, zginając się przy tym z bólu. Wtem uwagę Olivera przykuły pukle orzechowych włosów. Ogarnęło go dziwne uczucie niczym déjà vu.

— *Już gdzieś widziałem takie włosy* — przeszło mu przez myśl. Jego przeciwnik nie szarpał się, tylko wciąż oddychał głośno i miarowo.

— Rodzice nie nauczyli cię, że siłą niczego nie wskórasz? — rzekł z pogardą medyk. Zbir nie odpowiedział, więc przestał przyciskać go do ściany. Drab stał wciąż lekko zgięty z bólu, a kaptur zakrywał jego twarz. Oliver wyciągnął rękę i zerwał mu tkaninę z głowy. Stał przed nim młody chłopak o długich, orzechowych włosach. Ubranie miał luźne i zniszczone. Pod fałdami materiału widać było krzepkie ciało. Miał silnie zarysowane mięśnie rąk. Sądząc po jego ubraniu i muskulaturze był myśliwym. Patrzył na świat błękitnymi oczami, które współgrały z chłodną poświatą miesiąca. Medyk przyglądał się uważnie przybyszowi. Stali tak przez chwilę w milczeniu, mierząc się spojrzeniami.

— Nie jesteś rozmownym typem, co? — zagadnął medyk. — Po co przyszedłeś? — dodał nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi.

— Mam do ciebie interes — odparł w końcu tamten nie ukrywając gniewu w głosie, jak i w spojrzeniu.

— Oh — odparł medyk pocierając policzek kciukiem. — Masz ciekawe metody pertraktacji — rzucasz się na mnie z nożem.

— Nie miałem wyjścia. Inaczej byś mnie nie wysłuchał. Ktoś taki jak ty nie zawraca sobie głowy kimś takim jak ja.

— No powiedzmy, że potrzebowałbyś silnych argumentów... ot, ale twoja siła jest jakaś mizerna.

— Tu zmierzwił włosy myśliwego jakby ten był małym chłopcem. Chłopak szarpnął się i szybko obrócił próbując uderzyć męczyszynę w brzuch. Doświadczenie medyka wygrało i chłopak znów został przyparty do ściany, tym razem z wykręconą ręką. Wtem, rozległo się pukanie do drzwi.

— Wszystkie w porządku panie? Usłyszeliśmy hałas dobiegający z twojej komnaty — rozległ się głos służącej.

— Wszystko w porządku. Ganiałem tylko bardzo uporczywa ćmę — spojrzał wymownie na chłopaka i dodał: — Możesz odejść.

— Dobrze panie — odparła służąca i wkrótce można było usłyszeć jej kroki na schodach. Oliver puścił chłopaka. Ten stał w miejscu pocierając obolałą rękę. Medyk podszedł do szafki i zapalił kilka świec. Siadł na brzegu łóżka. Kopnął w kierunku napastnika mały stołeczek.

— Co tak stoisz? Siadaj — rzucił w jego stronę zapalając fajkę. Myśliwy z niełatwym zdziwieniem przysiadł na stołeczku i spojrzał badawczo na medyka.

— O czym chciałeś ze mną rozmawiać? — zagadnął Oliver

— Moja przyjaciółka jest chora. Nie potrafię sam zbić gorączki... Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Ostatnie słowa z trudem przeszły mu przez gardło. Oliver zamyślił się, zaciągnął fajkowym dymem i uśmiechnął lekko.

— Ktoś już dzisiaj mnie prosił o to samo... Ktoś bardzo podobny do ciebie — mówiąc to patrzył na myśliwego tak przenikliwym wzrokiem, że chłopak chciał się schować, zaszyć pod ziemią. Wtem medyk odwrócił spojrzenie i rzekł:

— Jesteście rodzeństwem? — spytał. Chłopak skinął głową

— Więc powiem ci to samo, co siostrze. Bez przebadania rannej nie mogę zrobić nic.

— Jej nie ma w mieście... jest w lesie — odezwał się chłopak, jednak medyk wyglądał na niewzruszonego. Znów zapadła cisza. Oliver spokojnie pytał fajkę. Chłopak czekał cierpliwie w głębi duszy przeczuwając, że właśnie został wystawiony na próbę.

— To już wiem od twojej siostry. Uparte z was sztuki — dodał medyk i ponownie zainteresował się swoją fajką. Wnikliwie przyglądał się myśliwemu lustrując go z góry na dół. Poświata miesiąca odbijała się od blond włosów lekarza tworząc błękitną aureolę wokół jego głowy, która mocno kontrastowała z ciepłym blaskiem świec.

— Gdyby przyciąć ci włosy i dodać gdzieś trochę kobiecych krągłości wyglądałbyś zupełnie jak siostra. Bardzo jesteście podobni — rzekł po dłuższej chwili.

— W końcu jesteśmy bliźniętami — odparł Lucjan, któremu robiło się bardzo nieswojo od spojrzenia Olivera.

— Powiedz mi- odezwał się w końcu medyk — dlaczego mam ci pomóc? A raczej dlaczego mam wam pomóc – tobie i twojej siostrze? Ta ranna musi być dla was kimś ważnym skoro aż tak zależy wam na mojej pomocy.

— Bardziej dla mnie... Mirime wcale jej nie zna... — tu ugryzł się w język.

— *Głupiś!* — skarcił się w myślach. — *Za dużo gadasz.*

— Mirime... — medyk chwilę rozważał mrucząc coś do siebie pod nosem — Jaka jest więc twoja odpowiedź?

— Co? — wychrypiął Lucjan zdziwiony nagłym pytaniem. — A... — mruknął

— *Pokazujesz słabość! Musisz być czujniejszy* — skarcił się znowu w myślach zły na swoją niezdarność.

— Skoro jesteś człowiekiem to normalne, że pomożesz potrzebującemu... — rzekł z gniewem i irytacją.

— A co jeśli nie jestem człowiekiem? — odparł ze stoickim spokojem Oliver. Jego twarz była biała jak maska, a oczy, mimo odbijających się w ich ciepłych płomieni świec, patrzyły na Lucjana chłodno. Po plecach chłopca przebiegł zimny dreszcz, a na twarz wystąpił błąd rumieniec.

— To dobrze się składa, bo ja też nie — rzekł Lucjan, mimo że czuł w gardle wielką gulę. W oczach Olivera błysły iskierki i... jeszcze coś, czego Lucjan nie mógł zrozumieć. Wargi mężczyzny wygięły się w ironicznym uśmiechu, ale medyk nie odpowiedział nic tylko znów zaciągnął się dymem.

— I mam coś w zamian — dodał łowca. — Wiem czego szukasz..

— Wiem, że wiesz. Siedziałeś na tej belce i podsłuchiwałeś. Nietądnie — odparował Oliver, dobitnie akcentując ostatnie słowo tak, jakby karmił małe dziecko. Lucjan poczuł, że drży, a serce mu kołacze. Bystrość tego tajemniczego mężczyzny wywoływała w nim strach, ale i podziw. Sama obecność lekarza sprawiała, że czuł się nieswojo, a jednak było w nim coś, co wywoływało ciekawość. Niemniej najbardziej irytował go fakt, że medyk drwił z niego.

— Musisz wiedzieć, że wszystko co powiedziałem Lady Inaris było kłamstwem — spokojnie rzekł medyk.

— Też tak sądziłem. Chciał pan ją zbyć odpowiedzią i opowiedzieć coś nieprawdopodobnego, by ukryć swój prawdziwy cel. Jednak użył pan najprostszej możliwości i powiedział prawdę, utwierdzając tym samym u wszystkich przekonanie, że kłamie.

— No proszę. A jednak coś kryje się pod tą burzą włosów.

— Wiem gdzie leży jedno ze szklanych miast — powiedział Lucjan, czując nagłą pewność siebie.

— Nie ty pierwszy mi to mówisz- odparł Oliver. — Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukujesz? — w myślimy przygaśł płomień dopiero co zrodzonej nadziei. Bardzo go to zirykowało.

— Pan jest tu mistrzem dedukcji, więc auć... — jęknął po próbie poruszenia ramieniem. Ostry ból przeszył mu całą rękę. Zaczął ją niemrawo pocierać, ale ból nie ustępował. Oliver podszedł do niego i złapał za obolałe przedramię. Kolejna fala bólu przeszła go od barku, aż po końce palców. Myśliwy szarpnął się czując jak Oliver rozluźnia uchwyt i zaraz pożałował, gdyż ręka znów zeszytywniała. Jęknął głucho.

— Nie szarp się, pokaż — warknął Oliver widząc jak chłopak krzywi się z bólu. Medyk zaczął pocierać dłonie, a następnie rozmasował obolały mięsień. Chłopak zacisnął usta, by nie krzyknąć. Po chwili Oliver zakończył rozcieranie i rzekł:

— A teraz? Spróbuj poruszyć. I rzeczywiście Lucjan odzyskał pełnię ruchów, a ręka wcale nie bolała.

— Jak pan to zrobił? — spytał zdziwiony.

— Nie jestem tylko mistrzem dedukcji — odparł Oliver, przyglądając się jak chłopak ogląda swoje przedramię.

— Delikatny jak panienka — dodał z drwiącym uśmieszkiem przyprowadzając Lucjana o kolejną falę frustracji. Chłopak hardo spojrzał na medyka i szybkim ruchem wstał ze stołka.

— Tracę tylko czas! Mów więc: pomożesz mi, czy też nie? — rzucił gniewnie mając w głębi duszy nadzieję, że usłyszy odpowiedź twierdzącą. Skoro uleczył jego rękę, na pewno potrafi pomóc Shadow. Przyglądali się sobie chwilę w milczeniu. W końcu Lucjan spuścił wzrok i skierował się do wyjścia.

— Wybacz pan, że zabrałem cenny czas. Dobranoc — wydusił przez zaciśnięte z gniewu i żalu wargi. Medyk odprowadził go wzrokiem do drzwi, a gdy Lucjan miał już wyjść z pokoju spytał nagle:

— Dlaczego wygnano cię z miasta?

— Nie twój interes — odpowiedział drżącym głosem, który łamał mu się w gardle ze strachu i gniewu.

— Rozumiem. Od jak dawna gorączkują twoja znajoma?

— Od trzech dni — odpowiedział zaskoczony nagłym obrotem sprawy.

— Co dokładnie jej jeszcze dolega?

— Została ranna...

— Czym?

— Kłębem, zębem..

— Jakieś bestii, węża, jakieś innej jadowitej istoty?

— Nie... dzika. Szablą dzika.

— Dzika? — zapytał zdziwiony medyk, ale zaraz wzruszył ramionami i wyduł wargi — Niech będzie dzik. Medyk podszedł do dużej skrzyni, która stała w kącie pokoju. Otworzył ją niczym szafkę. Okazało się, że wewnątrz wypełniają szufladki, zapadnie, a wszystko napełnione jest słoiczkami, woreczkami dziwnymi przedmiotami i kompletem noży o niezwykłych kształtach. Do czego miały służyć, Lucjan wołał nie pytać z obawy przed demonstracją możliwości ostrzy. Medyk wziął kilka buteleczek i worek z jakimiś ziołami. Wszystko zapakował od większego worka z szelkami i zwrócił się do myśliwego.

— Układ stoi. Ja pomogę tobie, ty w zamian zaprowadzisz mnie do szklanego miasta — po czym podszedł do myśliwego i wyciągnął rękę — Nazywam się Terg.

— Dziwne imię... — odparł zdezorientowany i zaskoczony zachowaniem medyka Lucjan.

— Nie. Terg to moje nazwisko. Chyba słyszałeś o czymś takim? Mam na imię Oliver — odparł z rozbawieniem jego rozmówca.

— Eee... no tak- zakłopotany chłopak szybko uściśnął dłoń mężczyzny. — Mnie wołają Lucjan.

— No. Lucjanie prowadź do pacjentki.

— Jak to? Teraz? — zaszokowany myśliwy był tak szczęśliwy, że zupełnie stracił poczucie czasu.

— Chyba nie należy zwlekać — odrzekł zupełnie spokojnie Oliver.

— Racja, tyle że jest środek nocy. Straże pilnują, by nikt nie wyszedł ani nie wszedł do miasta. Nie przepuszczają pana.

— Ale tobie to jakoś nie przeszkadzało, mimo że masz zakaz wchodzenia do miasta „w ogóle” — między mężczyznami zapadła cisza. Lucjan zarumienił się poirytowany i założył ręce na piersi.

— No to jak zamierza pan wyjść? — spytał. Oliver uśmiechnął się i odparł:

— Nie zapominaj kim jestem. Mój fach równa się w tym świecie z boską chwałą. Mogę robić co zechcę. A z resztą... też mam swoje sposoby.

— Czekam więc na pana przy wschodniej bramie — rzekł Lucjan. Naciągnął kaptur i szybko opuścił pokój mając serdecznie dość przenikliwego i mrozącego krew w żyłach spojrzenia wędrownego sprzedawcy lekarstw.

Mocny blask księżyca z trudem przedzierał się przez korony drzew. Tylko gdzieś tam przedostawał się między liśćmi, tworząc wśród leśnego poszycia mozaikę światłocieni. Lucjan siedział spokojnie w cieniu starego dębu. Obserwował spod kaptura wschodnią bramę. Ułatwiała mu to mocna poświata miesiąca, która zalewała całą drogę. Powietrze wypełniała muzyka świerszczy i ciche pohukiwania puszczyka. Nagle za plecami chłopaka zabrzmiał głos:

— Nie śpij, bo cię okradną. Lucjan zerwał się na równe nogi i szybko odwrócił. Stał za nim Oliver z maską spokoju na twarzy. Mężczyzna uniósł brew.

— Coś się stało?

— Ale mnie pan przestraszył — odparł Lucjan przykładając rękę do piersi w geście ulgi. — Ale... Jak się pan tutaj dostał? — spytał, machając ręką w stronę wschodniej bramy.

— Już ci mówiłem. Mam swoje sposoby. A teraz nie zwlekajmy. Prowadź.

— Tylko niech pan uważa. Deszcz wypukał ziemię i łatwo zacząć o wystające korzenie — rzucił krótkie ostrzeżenie i zagłębił się w ciemność lasu.

Mężczyźni przedzierali się przez zarośla, aż w końcu dotarli do wydeptanej przez zwierzęta ścieżki. Szli w milczeniu. Lucjan raz po raz rzucał ukradkowe spojrzenia na idącego za nim medyka. Czuł się wyjątkowo nieswojo ze świadomością, że Oliver ciągle patrzy na jego plecy. Skupił więc wzrok na ścieżce. Gęste korony drzew prawie wcale nie przepuszczały blasku księżyca, mimo to dróżka była dobrze widoczna. Prowadziła w głąb puszczy niczym długi korytarz. Po obu jej stronach

rosły kolumny drzew. Z niższych partii gałęzi zwisały porosty wysrebrzone kroplami rosy. Pod ich nogami rozciągał się dywan z mchu i widłaków. Każde poruszenie delikatnych roślinek sprawiało, że w powietrze wnosił się złote obłoczki zarodników. Teren zaczął się wznosić, aż w końcu mężczyźni szli pod górkę. Coraz częściej zamiast ziemi czuli pod stopami ostre krawędzie kamieni.

Oliver przyglądał się uważnie myśliwemu. Chłopak zwinie i pewnie poruszał się po leśnej ścieżce. Buty z miękkiej skóry sprawiały, że stąpał bezszelestnie w przeciwieństwie do niego samego. Nagle chłopak przyłożył dłoń do ust i zahukał. Odpowiedział mu skrzek i pohukiwanie. Z ciemności wyłoniła się sowa. Przysiadła na gałęzi pobliskiego drzewa i przekręciła główkę. Lucjan naciągnął na prawą dłoń skórzaną rękawicę i wyciągnął z kieszeni kawałek suszonego mięsa. Ptak podleciał do niego i usiadł na prawym przedramieniu. Łapczywie pochłonął przygotowany smakołyk dziobiąc przy tym przy tym do krwi prawą dłoń Lucjana. Dopiero teraz Oliver zauważył, że rękę chłopaka pokrywa kilka blizn – pamiątek po dziobie sowy.

— Droga wolna — rzekł Lucjan wycierając krew o rękaw. Medyk milczał. Ruszyli dalej. Dróżka stała się kręta. Do tego przecinały ją inne, tworząc labirynt wśród leśnych roślin. Teren zaczął powoli opadać w łagodny stok. Wkrótce odgłosy nocy zmaćli szum.

— Wodospad? — spytał Oliver. W odpowiedzi myśliwy skinął głową.

— Akri otacza łukiem Drindwo — dodał po chwili zataczając ręką łuk w powietrzu. Drzewa zaczęły się przerzedzać, dzięki czemu na ścieżce coraz częściej pojawiały się plamy księżycowego światła. Szum wody stawał się coraz wyraźniejszy, aż w końcu zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Nagle ścieżka skończyła się. Myśliwy skręcił w prawo, a za nim podążył Oliver. Mężczyźni wyszli na kamienistą plażę nad brzegiem rzeki. Ich oczy poraził blask księżyca mieniący się w płynącej wodzie. Ze stoku kolejnego wzniesienia spadało tysiące kropel, tworząc malowniczy wodospad. Rzeka nie była bardzo szeroka, ale jej prąd był silny.

— Tuż za wodospadem jest płycizna. Normalnie woda nie sięga kolan, ale ostatnio dość dużo padało, więc poziom wody trochę wzrósł — rzekł Lucjan zdejmując buty. Medyk chciał pójść jego śladem, ale chłopak powstrzymał go.

— Akri jest niebezpieczna podczas wezbrań. Tworzą się w niej wiry wodne, a do tego na dnie rzeki zdarzają się nagłe spadki i zagłębienia. Wie pan — kontynuował szurając przy tym stopami o kamyki — lepiej nie ryzykować.

— Rozumiem więc, że masz inny sposób na przeprawienie się przez rzekę.

— Nie, ja nie. Ale las tak. — Wskazał na przewalony pień, który tworzył pomost między brzegami rzeki i dodał: — Tylko trzeba to jeszcze trochę ulepszyć. Lucjan zaczął wspinać się na pień wysokiej sosny, która rosta niedaleko brzegu.

— Sprytne — mruknął pod nosem Oliver, widząc jak chłopak wyciąga z dziupli liny sznur, a następnie przywiązuje do pnia sosny.

— Proszę, proszę. Mały akrobata — stwierdził Oliver patrząc jak Lucjan sprawnie przechodzi nad wzburzoną wodą po śliskim pniu.

— Teraz pana kolej — krzyknął Lucjan kończąc przywiązywać drugi koniec liny do pnia. Przeprawiwszy się na drugą stronę, mężczyźni ruszyli w dalszą drogę. Nim jednak znów zagłębili się w las Lucjan zatrzymał się gwałtownie.

— Musi pan chwilę na mnie poczekać — rzekł.

— Czy coś się stało?

— Tak. Moje buty zostały po tamtej stronie.

Księżyc chylił się ku zachodowi. Jego tarczę zasłoniły korony drzew. W lesie zapanowały mrok i cisza.

— Dość daleko masz do domu — stwierdził Oliver. Mężczyźni właśnie weszli na sporą polanę. Ciemność sprawiła, że Oliver z trudem rozróżniał elementy otoczenia. Nie dało się jednak nie zauważyć stojącej w centrum polany małej chatki. Od frontu budowlę zamykał zadaszony ganek. Lucjan otworzył drzwi domku i przepuścił gościa. Mężczyzna wszedł do małej sieni, a następnie do schludnej izby. Pomieszczenie wypełniała ciemność, jednak nawet to nie przeszkadzało mu w dostrzeżeniu ogromnego pieca i dziwnej, białej kulki sierści. Lucjan zapalił kilka świec i kaganków. Przestrzeń wypełnił ciepły blask. Dopiero teraz medyk przyjrzał się izbie.

Na ułożonych niedaleko łóżka futrach leżała wilczyca. Zwierzę oddychało bardzo powoli i płytko. Myśliwy przykląkł przy niej i delikatnie pogłaskał jej futro. Stworzenie było wyczerpane.

— Spodziewałem się zastać człowieka — mruknął Oliver.

— Więc nie pomożesz jej? — spytał Lucjan patrząc spod łba na medyka.

— Czym obłożyłeś jej ranę? — odparł pytaniem na pytanie. Medyk również przykląkł przy zwierzęciu i odchylił prowizoryczny opatrunek. Rozcięcie było spuchnięte i zaropiałe. Czuć było zapach rozkładu.

— Krwaw...

— Krwawnik to trochę za mało — przerwał Lucjanowi. — Potrzebna mi gorąca woda, miseczka... i mam nadzieję, że nie sprzątasz. Lucjan nie zastanawiając się wybiegł z domu po wodę. Nie było go kilka chwil, ale gdy wrócił w piecu palił się mocny ogień.

— Zagotuj część wody, a część daj tutaj — rzekł medyk za nim chłopak zdążył zadać kolejne pytanie. Lucjan odlał część wody do garnka. Gdy poszedł do pieca buchnęła w niego fala gorąca. Płomienie szalały. Dotknął jednej z cegieł i szybko cofnął rękę. Poparzył opuszek palca. Postawił na piecu garnek, a potem popatrzył podejrzliwie na Olivera, który wyjmował z worka zabrane ze sobą zioła.

— Przyda się ścierka — rzucił do niego medyk. — Najlepiej czysta — dodał. Chłopak wypełnił jego polecenie przyglądając się przy tym, jak Oliver odlewa część wody do miednicy.

— Przerwij ścierkę na pół, daj mi jedną połowę, a drugą zamocz w wodzie i spróbuj napoić wilczycę. Jest odwodniona z powodu gorączki, a bez wody nic nie jest w stanie żyć. — W tym czasie, gdy Lucjan zwilżał pysk zwierzęciu, Oliver umył ręce i zdjął wodę, która gotowała się pełną objętością. Przemył ranę wilczycy, a potem otworzył jedną z zabranych przez siebie buteleczek. Szklany pojemniczek wypełniała żółta ciecz, o charakterystycznym zapachu. Oliver przemył zawartością buteleczki ranę. Na powierzchnię przeciętej skóry znów wypłynęła ropa.

— Wlej teraz gorącą wodę do miseczki.

— Auć! — jęknął cichutko Lucjan. Garnek parzył go w rękę.

— *W jaki sposób mógł tego dotykać?* — przemknęło mu przez myśl. Mężczyzna podeszedł do okna. Oglądał uważnie kąty i szpary w deskach. Lucjan przyglądał się trochę zdziwiony zachowaniem medyka.

— A, tu jesteś. Daj miseczkę — powiedziawszy to zgarnął z okna starą, zakurzoną pajęczynę, a następnie wrzucił ją do naczynka.

— A teraz napluj do miseczki.

— Co? — spytał zaszokowany chłopak.

— To co usłyszysz. — odparł Oliver wciskając mu miseczkę w dłoń. — Tylko nie żałuj śliny — dodał, a sam zabrał się do kruszenia kawałków wierzbowej kory. Następnie zmieszał wszystkie składniki i osmarował powstałą papką ranę zwierzęcia. Na sam koniec zabandażował rozcięcie.

— Spróbuj znów ją napoić. Niech dużo pije. Oliver wytarł ręce, siadł na stołeczku pod oknem i zapalił fajkę. W pomieszczeniu zrobiło się bardzo gorąco z powodu rozgrzanego pieca. Na szczęście ogień już przygasał. Lucjan otworzył okno, by wpuścić świeże powietrze z zewnątrz. Spojrzał w niebo.

— I co teraz? — spytał.

— Czekamy. Zobaczymy jak sytuacja będzie wyglądać rano.

Gdy medyk skończył palić fajkę przeciągnął się jak kot i nie pytając gospodarza o pozwolenie rzucił się na łóżko. Ściągnął buty i przykrył niedźwiedzią skórą.

— Pilnuj, żeby się nie odwodniła — powiedział i zasnął. Lucjan powstał jeszcze chwilę przy oknie po czym położył się obok wilczycy. Wtulił się w jej białe futro i delikatnymi ruchami zaczął głaskać zwierzę po grzbiecie. Do jego nosa wdarł się zapach zgnilizny i potu. Mimo to jeszcze mocniej wtulił się w wilczycę. Sam już nie pamiętał, kiedy zasnął.

Oliver leżał na boku. Nie spał. Nasłuchiwał. Z początku słyszał tylko niespokojny oddech wilczycy i powolne oddechy Lucjana. Przekręcił się na drugi bok. Ciszę wypełniło kilka skomleń. Oliver uchylił powieki. W blasku dogasającej świecy dostrzegł drżące ciało chłopaka. Zdało się słyszeć ciche łkanie. Myśliwy mocno ścisnął sierść zwierzęcia.

— *Tak jak myślałem* — przemknęło mu przez głowę. Lekarz przekręcił się na drugi bok i zasnął.

Promienie słoneczne wpadły do izby przez okno. Ich ciepłe pocałunki spoczęły na śpiącym Oliverze. Medyk uchylił powieki. Przypatrywał się chwile wirującym w powietrzu drobinom kurzu, które dzięki blaskowi słońca wyglądały jak złoty pył. Oliver przeciągnął się i usiadł na łóżku. Rozejrzał się po izbie. Dopiero w słonecznym blasku ujrzał dokładnie elementy pomieszczenia. Było ono schludne, ale zagracone. Najwięcej miejsca zajmował piec, na którym suszyły się owoce, grzyby i mięso. Oprócz łóżka, umeblowanie izby stanowił niewielki stół, stołeczki oraz mnogość różnorakich półek. Oliver spojrzał w górę. Pod sklepieniem wisiały pęki suszonych ziół, kwiatów i warzyw, drewniane klatki, worki, lniane sznury, haczyki i dziwne metalowe narzędzia. Przy drzwiach, na drewnianym kołku, wisiał płaszcz, łuk i kołczan ze strzałkami. Ale najbardziej intrygujące były dla niego półki, a raczej przedmioty, które na nich stały. Stanowiły one bowiem kontrast. Obok kościanych igieł leżała jedwabna nić. Na jednej z półek stały rzędem stojące z konfiturą, by zaraz ustąpić miejsca zwykłym lnianym woreczkom z przyprawami. Wyciosany z kamienia toporek leżał obok kompletu noży. Nawet z daleka Oliver rozpoznał wygrawerowany na ostrzach symbol — robota najlepszych płatnerzy z Feweg. Na stołeczku pod oknem stała zniszczona miednica z wodą, a obok wisiał pięknie haftowany ręcznik. Nie były to rzeczy, na które stać zwykłego myśliwego, bo w nie jednym bogatym domu nie można było ich znaleźć. W izbie brakowało tylko gospodarza.

Oliver wstał z łóżka, naciągnął buty. Powietrze wypełnił stukot. Dźwięk był regularny i dobiegał z zewnątrz.

— *No to wiem gdzie jest nasz myśliwy* — pomyślał. Medyk poszedł do okna. Umył twarz i ręce wodą z miednicy, a następnie wyszedł z budynku. Stał na ganku i rozejrzał się po polanie. Zalana słońcem przestrzeń kontrastowała z ciemnym tłem lasu. Po lewej stronie chatki znajdował się ogródek warzywny. Wśród liści kapusty buszował mały zajaczek. Zobaczywszy męczyznę czmychnął między grządki i zniknął z pola widzenia Olivera. Medyk zszedł z ganku i skierował się na tył chatki skąd dochodził odgłos rąbania drewna. Stał za rogiem i przyglądał się przez chwilę jak młody myśliwy rąbie dębowe łupki i układa przy przechylonej szopie. Mokra od potu koszula młodzieńca parowała w słońcu, a gęste krople spływały mu do oczu. Promienie słońca rozświetlały jego orzechowe włosy nadając im złotego poblasku. Gdy Lucjan odwrócił się, by sięgnąć po kolejny kawałek drewna spostrzegł Olivera opierającego się o ścianę.

— Dzień dobry — rzekł i wbił siekierę w pniak przerywając pracę. — Hałas musiał pana obudzić. Przepraszam.

— Nie. I tak już nie spałem — odparł Oliver.

— A... no to może pan jest głodny?

— Nie zaprzeczę,... Choć pewnie ty jesteś bardziej głodny — odparł medyk przyglądając się chłopakowi. Miał podkrążone oczy i pobladłą twarz, zapewne z niewyspania.

— Raczej późno jadam śniadania. Chyba, że nie mam rano pracy na dworze.

— A to w ogóle się zdarza?

— Tylko przy paskudnej pogodzie — odparł z uśmiechem Lucjan. — A na kawę ma pan chęć? Oliver spojrzał na Lucjana, a w jego oczach błysnęły iskierki ciekawości.

— Kawę? Proponujesz mi kawę? Tę samą kawę, na którą stać tylko najbogatszych, za której trzy ziarna jeden z władców odległej stąd krainy oddał całą wieś? — odparł dziwnym tonem Oliver.

— Zaraz... pan chce powiedzieć, że kawa jest aż tak rzadka? — spytał zszokowany Lucjan.

— Owszem. I bardzo kosztowna. — Lucjan rozważał przez chwilę słowa Olivera.

— *Żartuje sobie ze mnie* — pomyślał.

— Jeśli umiesz ją dobrze parzyć, to z chęcią skosztuję — rzekł w końcu medyk. — A teraz wybac, ale muszę rozprostować kości — dodał i szybkim krokiem skierował się w stronę lasu, by po chwili całkiem zniknąć w jego gęstwinie. Lucjan westchnął. Rzeczywiście uczył ssanie w żołądku oznajmujące, że czas coś przekąsić.

Gdy Oliver wrócił z porannego spaceru śniadanie było już gotowe. Musiał przyznać, że Lucjan bardzo się postarał. Wystawił stół i stołeczki na ganek, by mogli zjeść posiłek na świeżym powietrzu, a mebel zastawił obficie. Oprócz wędliny, której Oliver spodziewał się, na stole znalazły się również masło, jajka, twarożek, mleko oraz pachnący, żytyn chleb. Z dużego dzbanka ulatniał się aromatyczny zapach. Oliver pociągnął nosem. Nie, nie mógł pomylić tego zapachu z żadnym innym, mimo że czuł go raz w życiu. W naczyniu znajdowała się gorąca kawa. Medyk chwycił za kubek i nalał do niego cieczy. Klarowna, aromatyczna, czarna...i gorzka. Oliver upił łyk płynu i poczuł, jak ciepło rozlewa się po jego przetyku.

— Nieładnie. Mógł pan chociaż poczekać na mnie — rozległo się za jego plecami. Lucjan wszedł na ganek trzymając w ręku plastry miodu. Położył je na talerzyku i zaczął oblizywać palce z bursztynowego syropu.

— Smacznego — odparł Oliver i usiadł przy stole.

— Dziękuję, dziękuję — powiedział myśliwy kiwając przy tym głową. Zaczęli jeść. Lucjan małymi kęsami, Oliver szybko i łapczywie.

— Jak kawa? — spytał myśliwy.

— Muszę przyznać, że bardzo smaczna. Kto nauczył cię ją parzyć?

— Pewnie kupiec. Od niego też mam ziarna. Dobry był z niego człowiek. Niestety szybko mu się zmarło, więc nasza znajomość była dość krótka — rzekł Lucjan wypowiadając wyraz szybko, by móc znów zająć się jedzeniem. Jednak nagle poczuł, że każdy kęs rośnie mu w gardle i całkiem traci apetyt. Medyk milczał. Tylko raz po raz popatrzył na myśliwego znad brzegu kubka z kawą. Słońce grzało mocno rżąc mężczyzn w oczy. Mimo to obydwoj odwrócili do niego twarze, by czuć ciepłe i przyjemne muśnięcia promieni. Kto wie, może to ostatni tak ciepły dzień tego roku?

Do jedzenia zaczęły zlatywać się pszczoły i inne owady, więc Lucjan szybko sprzątnął ze stołu po czym również nalał sobie kawy i usiadł z powrotem przy stole.

— Co zamierzasz dzisiaj robić? — przerwał ciszę Oliver. W odpowiedzi chłopak wzruszył ramionami.

— Zapowiada się ciepły dzień, więc sam już nie wiem, co robić. Las odpoczywa podczas upału, nie traci energii. Nie ma sensu zaczynać żadnej roboty. A pan? Wraca pan do Drindwa?

— Tak. — Między mężczyznami znów zapadła cisza. Raz na jakiś czas przerywał ją samotny ptasi trel bądź odgłosy owadów.

— Chciałem panu podziękować — rzekł w końcu Lucjan ściskając przy tym mocno swój kubek z kawą.

— Wilczyca nie żyje. Za co, więc chcesz mi dziękować?

— Za pomoc. Przecież przyszedł pan tutaj i coś dla niej zrobił.

— Owszem, ale muszę przyznać, że lepiej było ją od razu dobić. Było już dla niej za późno.

— Dlaczego więc, od razu mi pan tego nie powiedział?

— A zgodziłbyś się wtedy ze mną? — spytał i upiwszy tyk kawy dodał: — Wyklócałbyś się ze mną o to i nie dał wiary. — Lucjan po raz kolejny był pełen podziwu dla medyka. Z łatwością odgadywał każdą jego myśl, każdy jego ruch. Oprócz podziwu rosło w Lucjanie poczucie lęku przed nieznanym i sprawiało, że stawał się wobec niego coraz bardziej nieufny.

— Zapewne ma pan rację — rzekł po chwili. Znów zapadła między nimi niezręczna cisza. Myśliwy rozważał w myślach minione wydarzenia. Znów poczuł ogarniającą go żal, a pita przez niego kawa całkiem straciła swój smak, który przecież tak uwielbiał. Pomyślał o Shadow. Nagle poczuł na policzku kroplę. Nawet nie zdał sobie sprawy, z tego że zaczął płakać. Pociągnął kilka razy nosem i szybko otarł rękawem wzbierające łzy. Zebrał się w sobie i spoglądając na las zaczął mówić:

— Gdy wygnano mnie z miasta, strażę goniły mnie bardzo głęboko w las. Pamiętam tylko to, że byłem potwornie przerażony. Robiło się ciemno, a ja wciąż biegłem, mimo że nikt od dawna mnie nie gonił. A potem wyróciłem się i potoczyłem jak piłka po zboczu jednego z wzniesień. Straciłem przytomność. Obudził mnie warkot. To była Shadow. Warczała i szarpała moją nogawkę, jak to szczeniak. Wtedy wyglądała jak mała biała kuleczka i była przeurocza. Mały wilczek, który najwyraźniej stracił rodzinę — pomyślałem i postanowiłem ją złapać. Ale była sprytna i uciekała bardzo szybko między krzewami. Goniłem ją, aż zaprowadziła mnie do ruin miasta. Dopiero tam dała mi się złapać. Od tamtej pory byliśmy nierozłączni. Wilczyca i ja. To ona przyprowadzała mnie do szklanego miasta i z powrotem dopóki nie zapamiętałem drogi. — Lucjan spojrzął w oczy mężczyzny palącego fajkę — Panie Oliver, nasza umowa jest jak najbardziej aktualna.

Oliver zmrzył oczy. Żar palącego się tytoniu odbijał się w jego złotych tęczęwkach. W końcu mężczyzna odwrócił wzrok.

— Daleko stąd do ruin? — spytał.

— Dwie, trzy godzinki szybkim marszem. Oliver zgasił fajkę. Spojrzął jeszcze raz na zalaną słońcem polanę i rzekł:

— Jutro, godzinę przed wschodem słońca będę czekać przy wschodniej bramie. Nie zawieź mnie i bądź na czas.

Las znów spowiła mgła. Tworzyła się nad Bagnem Trzech Sióstr i jak mleko rozlewała wśród leśnych pagórków. Zachodnie Wzgórze — jak zwykło się mawiać na tereny położone na zachód od Drindwa, ciągnęły się daleko na zachód i północny zachód, by w końcu ustąpić miejsca rozległym równinom. Był to teren usiany niezliczoną ilością większych bądź mniejszych wzniesień, poprzecinanych wąwozami. Daleko na południu, w Górach Italskich, znajdowały się źródła Akri — jednej z trzech siostrzanych rzek, która przepływa obok Drindwa zataczając łuk, a następnie przecinała Zachodnie Wzgórze by znów zawrócić łukiem i ująć na Bagna Trzech Sióstr. Akri wiję się wśród pagórków, a jej zdradliwy i szybki nurt wymywa głębę tworząc niebezpieczne osuwiska.

Lucjan i Oliver podążali na północny zachód trzymając się biegu rzeki. Po czterech godzinach marszu myśliwy zatrzymał się i zarządził krótki postój.

— Jeszcze z godzinka spaceru i będziemy na miejscu — rzekł siadając na miękkim mchu. — Musimy wejść w głąb lasu. Akri jest na tym odcinku strasznie kręta. Idąc jej brzegiem niepotrzebnie nadłożymy drogi. Przetniemy jej bieg idąc lasem.

— A czy nie było by szybciej popłynąć rzeką? — spytał Oliver siadając obok Lucjana. Chłopak pokręcił głową.

— Nie mam łódki, a do tego za nic nie wybrałbym tej drogi. Akri jest strasznie zdradliwą rzeką. Płynąć nią to jak popełnić samobójstwo. Do tego latem nad wodą łązi mnóstwo robactwa. Szczególnie wielkie, gryzące muchy. Ohydztwo — rzekł, wykrzywiając się na myśl o robakach. Oliver zdawał się być nieobecny. Wpatrywał się w ziemię pod swoimi stopami i nie odzywał się. Lucjan przyjrzał się mężczyźnie.

Patrząc na niego od razu można było zgadnąć, że nie jest mieszkańcem Drindwa i nie świadczyły o tym tylko blond włosy, ale także budowa całego ciała. Był szczupły i wysoki, ale za to masywny. Poza tym Lucjan zauważył, że jest dobrze umięśniony i bardzo sprawny fizycznie. Nie męczył się wędrówką, mimo że większość trasy wiodła pod górkę. Ręce miał żylaste i zniszczone od pracy. Twarz zdobił mocno zarysowany podbródek, wystające kości policzkowe, duże wargi i zgrabny nos. Całość postaci podkreślały niezwykle jasne włosy, średniej długości, które zaczesywał na bok. Do tego miał niezwykle oczy o barwie jasnego piwa, które lśniły złotym blaskiem. Lucjan nie potrafił określić, ile lat miał Oliver, lecz na pewno był osobą dojrzłą. Medyk ubierał się inaczej niż mieszkańcy Drindwa. Nosił Inianą koszulę ozdobioną haftem i czarną, skórzaną kurtkę. Miał na sobie luźne, zniszczone spodnie i porządne, ciężkie buty na grubej podeszwie. Nie nosił żadnych ozdób poza dziwnym naszyjnikiem na długim łańcuszku, który krył się w fałdach koszuli, bądź zwisał na wierzchu ubrania. Przedmiot ten bardzo zaciekał Lucjana.

Wielka zawieszka wyglądała na ciężką. Najbardziej jednak niezwykły był awers medalionu, na którym wryto bardzo skomplikowany rysunek. Przedstawiał on siedem zwierząt: głowę niedźwiedzia i wilka między którymi widniała postać kozicy. Pod nimi wygrawerowano lwa z olbrzymią grzywą oraz tura. Nad nimi rozpościerał skrzydła orzeł, zaś na dole medalionu widniała ławica ryb okalająca zwierzęta. Naszyjnik był niezwykle piękny. Ten, kto go wykonał, musiał być wspaniałym rzemieślnikiem. Niezwykła szczegółowość i dbałość o detale sprawiały, że zwierzęta wyglądały bardzo realistycznie. Ale w medalionie było coś jeszcze. Po prostu przyciągał wzrok. Lucjan nie wiedział dlaczego, ale mógł patrzeć na medalion cały dzień i wiedział, że nie znużyłoby go to ani na chwilę. Zahipnotyzowany wciąż patrzył na niego, ale wtem Oliver schował naszyjnik za koszulę. Spojrzał chłodno na myśliwego, a w jego oczach zabłyśły iskierki gniewu. Lucjan szybko odwrócił wzrok. Czuł, że policzki palą go ze wstydu. Oliver wstał szybko i rzekł:

— Siedzimy tutaj już zbyt długo. Prowadź. — W odpowiedzi Lucjan tylko skinął głową i wstając z miejsca ruszył w głąb leśnego poszycia. Mężczyźni szybko oddalili się od rzeki. Lucjan prowadził medyka starą ścieżką, która zaczynała powoli zarastać. Wkrótce leśne rośliny stawały się coraz gęstsze, przez co odgłos płynącej wody został przez nie zupełnie wytłumiony. Lucjan stawiał kroki szybko, prawie biegnąc. Całe ciało miał spięte, a serce biło mu jak oszalałe. Czuł, że traci świadomość. Nie wiedział co się z nim dzieje. Dopiero gdy potknął się o korzeń poczuł, że czuje się znów spokojnie, jakby nic się nie stało. Stanął i zaczął gorączkowo rozglądać się. Nie rozpoznawał miejsca, w którym się znajdował. Ogarnęła go panika. Rozglądał się wokoło, a jego ciało drżało jak liście na wietrze. Otaczający go las zaczął nagle falować i zmieniać kolory. Wkrótce potem do jego uszu zaczęły dochodzić stłumione szepty, ale nie potrafił określić kierunku z którego dochodziły. Nagle uczył lodowatą dłoń na ramieniu. Odwrócił się szybko i zobaczył Olivera. Medyk patrzył na niego spokojnie i spytał:

— Wszystko w porządku? Dziwnie zbladłeś. — Lucjan mrugnął kilka razy. Nie mógł uwierzyć w to co widział. Znajdowali się już całkiem niedaleko szklanego miasta. W powietrzu znów słychać było

szum rzeki. Ścieżka stawiała się tu bardzo szeroka, nie mógł więc pomylić jej z inną. Nie wiedział tylko w jaki sposób się tu dostał. Rozejrzał się wokoło czując, jak jego gardło zaciska się w imadle przerażenia.

— Lucjanie? — dopiero teraz zdał sobie sprawę, że medyk wciąż wpatruje się w niego i trzyma rękę na jego ramieniu. Strącił jego dłoń odparł:

— Wszystko dobrze. Jesteśmy już niedaleko....A właściwie to jesteśmy na miejscu — po czym zszedł ze ścieżki i znikł za krzewami. Oliver poszedł za nim. Zarośla skończyły się odsłaniając przed nimi jeden z klifów. Lucjan stał prawie na samym brzegu, u stóp którego kipiały wody Akri. Myśliwy wyciągnął rękę i wskazał na przeciwnie leżące wzgórze. Oliver podszedł do krawędzi klifu i stanął.

Oto jego oczom ukazało się legendarne miasto. Wznosiło się ono na trzech ogromnych tarasach, które zostały usypane na zboczu wzgórza. Zewsząd otaczała je zieleń lasu, zaś u stóp wzniesienia płynęła rzeka, nad którą znajdował się kamienny mostek. Całe miasto, mimo że wykonane z kamienia, sprawiało wrażenie zawieszonego w powietrzu, lekkiego. Ściany budynków zdobiły koronkowe ornamenty. Dachy budowli były ostre i strome. Tylko wież strażniczą przy mostku i jeden z większych budynków przykrywała kopuła. Jednak najbardziej zaskakujące były ogromne okna o różnych kształtach. Kolorowe szkło błyszczało w promieniach słońca. Mimo, że w wielu otworach brakowało szkła, a ściany poprzecinane były licznymi pęknięciami, miasto nadal wyglądało niesamowicie pięknie i dostojnie. Było niczym żołnierz stojący na straży puszczy od wieków. Mimo, że stary wciąż trzymający podniesioną głowę, dumny ze swojego stanowiska.

By dostać się na poszczególne tarasy trzeba było wejść po kamiennych schodach, które również nadgryzł ząb czasu. Między kamiennymi płytami przebijały się rośliny, a północne ściany budynków pokrywał mech. Wysokie budowle odcinały się mocnym konturem od błękitu nieba. Dalej za miastem widać było tylko ciemny las, który rozciągał się aż po horyzont. Nawet Akri skrzętała tuż za wzgórzem i znikła przed wzrokiem mężczyzny.

Lucjan spojrzał na Olivera. Medyk utkwiał wzrok w dali, wciąż patrząc na miasto, lecz jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Lucjan zaczynał się powoli przyzwyczajać do spokoju jaki emanował z postaci Olivera. Spojrzał na miasto. Dla niego było czymś niesamowitym i zawsze, gdy tu przychodził zachwycał się nim na nowo. Uwielbiał przechadzać się przejściami, które prowadziły z jednego budynku do drugiego. Przypominały one tunele, z tą jednak różnicą, że ściany przejść stanowiły puste okna, które kiedyś wypełnione były kolorowym szkłem. Zachwycały go ściany budowli, które bardziej wyglądały jak wyszlifowane ze skały prze płynącą wodę, niż postawione ręką człowieka. Lucjan nie mógł się nadziwić, jak na tak stosunkowo małej powierzchni, można zbudować tak rozległe miasto. Wrażenie przestrzeni potęgowały duże place i wysokie sklepienia. Do tego kolorowe szkło, które rzucało tysiące blasków i światełek na wewnętrzne ściany budowli, tworząc świetliste mozaiki, nadawało budowlom mistycznego charakteru. W mieście znajdowało się również źródło, które wytryskiwało ze zbocza. Pobudowano tu specjalne kanały, które rozprowadzały wodę do każdego zakątka miasta, a o prócz tego płynącą wodę wykorzystano do stworzenia sztucznych wodospadów.

— Piękne, czyż nie? — spytał Lucjan, by przerwać ciszę, która znów zapadła między nim, a medykiem. Nie lubił, gdy Oliver się odzywał, ale milczenie w towarzystwie tego mężczyzny było jeszcze gorsze. Oliver uśmiechnął się słabo i odparł:

— Jak wiele wiesz o tym mieście?

— Całkiem sporo. Znam rozkład budynków na pamięć. Znalazłem też kilka przejść — odparł z nieukrywanym zadowoleniem w głosie.

— Nie o to pytałem — odparł medyk. — Chodziło mi o to, ile wiesz o przeszłości tego miasta?

Lucjan zamyślił się chwilę i odparł:

— Tyle ile mówi o nim legenda, że kiedyś było to miasto zamieszkane przez ludzi i...

— Legenda kłamie — przerwał mu, wykrzywiając przy tym twarz w grymas wzgardy i obrzydzenia.

— Choć jest w niej pewne ziarno prawdy, bo przez ludzi to miasto zamieniło się w ruinę. — Medyk odwrócił się tyłem do miasta i wyciągnął fajkę. Nabił ją tytoniem, po czym popatrzył na Lucjana i rzekł:

— To Al'Dongur. Stare, stare miasto. Zbudowane przez elfy, dawno temu, zniszczone przez ich pychę, ludzką chciwość i bezlitosny czas. To, co widzisz teraz to jedna piąta tego, co było tu kiedyś.

— Skąd więc legenda? — spytał z zainteresowaniem myśliwy. Oliver zaciągnął się fajkowym dymem i spojrzał na miasto.

— Usłyszałem ją pierwszy raz w Drindwie. Jest znana tylko przez was. Pewnie wśród prostego ludu chodzą pogłoski o twierdzy w puszczy, lecz nikt o zdrowym rozsądku nie zapuszcza się w głąb lasu. Opowieść przez lata ubarwiono i mamy całkiem ładną legendę. Choć, jak już mówiłem, ziarno prawdy w niej jest. Chociażby o tej dużej ilości szkła.

Oliver usiadł pod drzewem i oparł się o pień. Palił fajkę i patrzył na Lucjana, który spoglądał na miasto, jak gdyby szukał w nim potwierdzenia słów medyka.

— Ale zgodzę się z tym, co mówiłeś — rzekł ściągając uwagę myśliwego na swoją osobę. — Jest niesamowite. — Lucjan potarł nos rękawem i znów przyjrzał się medykowi

— Olivierze... znaczy panie Olivierze — poprawił się szybko chłopak.

— Daruj sobie tego pana. Jestem Oliver Terg. Zresztą, zwij mnie jak chcesz, ale żadnych zdróbnień — dodał szybko po chwili.

— Olivierze — zaczął znów Lucjan — nie rozumiem tylko jednego. Mianowicie tego, dlaczego szukałeś tych ruin. Przecież nie ze względu na legendę. — Oliver spojrzał na chłopaka i odparł:

— Dlaczego miałbym ci to mówić? To już mój własny problem i lepiej żebyś nie pytał.

— Dobrze wiesz, że ta odpowiedź mnie nie zadowoli i że będę pytał dalej — odparł cicho Lucjan. Oliver zmarszczył brwi i westchnął.

— Wiem. Uparta z ciebie sztuka. — Lucjan usiadł obok medyka i cierpliwie czekał. Mężczyzna znów zmarszczył brwi i wykrzywił usta w grymasie odrazy.

— Szukam pewnego starego, elfickiego dokumentu. Dlatego podróżuję w poszukiwaniu dawnych siedzib tej rasy i przeszukuję biblioteki.

— Biblioteki?

— To takie miejsca, gdzie trzyma się książki. W Drindwie nie ma czegoś takiego, choć pewien zbiór książek znajduje się w Domu Kobiet.

— Wiem, co to biblioteka — oburzył się Lucjan. — Zastanawiam się tylko, czemu nie możesz spytać elfy o pomoc. — W odpowiedzi medyk tylko prychnął.

— Elfy na pewno mi nie pomogą. Gdybym chciał przekroczyć granice ich miast to z pewnością bym już nie żył.

— A mędracy? Są przecież ludźmi i mają dużą wiedzę. Może potrafiliby ci pomóc.

— Ich wiedza nie jest wystarczająca. Właściwie, to oni poradzili mi, żebym udał się po pomoc do elfów.

— No dobrze. Ale czego tak właściwie szukasz? Znaczący po co ci ten cały dokument?

— Tego, już ci nie powiem. Lepiej, żebyś nie wiedział. — Lucjan chciał zaprzeczyć, ale jedno mrozące krew w żyłach spojrzenie medyka sprawiło, że odpuścił sobie. Spuścił smętnie wzrok. Nagle pewna myśl zaświtała mu w głowie.

— Może ja potrafię ci pomóc? — Oliver popatrzył na myśliwego marszcząc brwi. Potarł policzek kciukiem i spojrzał w stronę miasta. Znów zapadła cisza, a medyk siedział nieruchomo wpatrzony

w miasto. Lucjan przeczuwając, że ta cisza potrwa długo, zajął się skubaniem trawy i rwaniem jej źdźbeł w palcach.

— Zaprowadź mnie do biblioteki — rzekł nagle Oliver wstając i strzepując trawę ze spodni. — Potem nie będziesz mi już potrzebny. — Na te słowa Lucjan zerwał się z trawy i patrząc gniewnie na Olivera rzekł:

— Nie będę potrzebny?! A to co? Czy, wyglądam jak przedmiot, że mnie pan tak traktuje? Beze mnie pewnie włóczyłby się pan dalej po lesie. — Powiedziawszy to ruszył w kierunku miasta i mamrocząc pod nosem skinął na medyka, by ten szedł za nim. I znów musiał znosić nieprzyjemne uczucie, jakie towarzyszyło mu za każdym razem, gdy Oliver idąc za nim skupiał swój wzrok na jego plecach.

Biblioteka znajdowała się w zachodniej części Al'Dongur. Gmach biblioteki był wysoki i składał się z dwóch pomieszczeń: przedsionka w kształcie walca zwieńczonego kopułą oraz głównej sali zbudowanej na planie ośmiokąta. Biblioteka, tak jak i całe miasto, popadała w ruinę. Piękne posadzki przykryła gruba warstwa kurzu i brudu, ściany porośły bluszczem, przez co freski, które niegdyś zdobiły pomieszczenie, popękały od nadmiaru wilgoci. Płaskorzeźby w kształcie smoków, które okalały wnętrze przedsionkowego walca, kruszyły się i zacierały. Tylko wystające ze ścian rzeźby smoczycich głów wyglądały na nienaruszone. Witraże w wysoko osadzonych oknach zachowały się w całości, dzięki czemu wnętrze budowli wypełniał tęczyowy blask. Półki z książkami i zwojami znajdowały się w głównej sali. Wspaniałe rękopisy i dzieła elfickich artystów kruszyły się przy najmniejszym dotknięciu. Wiele ksiąg straciło swoje okładki, bądź wypadły z nich kartki. Mimo to księgozbiór był zdumiewająco duży.

— Sądziłem, że biblioteka będzie w gorszym stanie — rzekł Oliver wchodząc do budynku. Mężczyzna bacznie przyglądał się wszystkim ścianom i półkom. Niemal od razu chwycił jedną z książek, przetarł rękawem jej okładkę wykonaną ze skóry i wrócił do przedsionka. Położył ją na blacie stołu, który stał po środku pomieszczenia. W powietrzu wzbił się tuman kurzu, gdy księga dotknęła mebla. Oliver zaczął się rozglądać za stołkiem, który byłby cały i niezniszczony.

— Krzesła stoją między regałami — rzekł Lucjan. Wciąż lekko rozgniewany na medyka stał oparty o futrynę wrót, których skrzydła zostały zdjęte i oparte o ścianę. Łowczy nie patrzył jednak na Olivera, spoglądał tylko przed siebie, skupiając wzrok na placu w kształcie klina, który znajdował się przed budynkiem. Za tarasem zaczynał się stromy stok wzgórza, a gdzieś w dole szumiały wody Akri. Oliver skinął tylko głową i znów zniknął w głębi sali. Po chwili wyłonił się z powrotem niosąc krzesło.

— Mam do ciebie jeszcze jedną, ostatnią prośbę — rzekł stawiając mebel przy stole. Lucjan z wyraźną niechęcią odwrócił wzrok na Olivera. Medyk oparł się o brzeg stołu i potarł kciukiem policzek w zamyśleniu. Lucjan poirytowany ciszą jaką ponownie zapadła między nim, a medykiem skrzyżował ręce na piersi i schylił głowę, by uniknąć kontaktu wzrokowego z Oliverem.

— Idź i zapomnij, że kiedykolwiek mnie spotkałeś — rzekł po chwili blond włosy mężczyzna. Lucjan powoli uniósł głowę i rozkrzyżował ręce, które zwisły mu bezwładnie wzdłuż tułowia. Był zaskoczony tym, co usłyszał. Otworzył usta i miał coś powiedzieć, ale zastygł z miną zaskoczenia na twarzy i nie odezwał się wcale. Jednak szok szybko minął, a na jego miejsce pojawił się gniew.

— Potraktuję te słowa jak podziękowanie za pomoc — syknął ze złości i odwróciwszy się na pięcie odszedł.

Oliver zdjął kurtkę i zwiesił ją na oparciu krzesła. Podeszedł znowu do regałów z książkami i zaczął przeglądać tytuły. Wziął do ręki opasy tom o roślinach. Potarł delikatnie jego okładkę, by usunąć z niej kurz. Nie odczytał jednak, żadnej litery tylko odwrócił wzrok w kierunku wejścia. Na jego twarzy zagościł delikatny uśmieszek wzgardy.

— Jeszcze tu wrócisz chłopcze. I to szybciej niż ci się wydaje — mruknął pod nosem, lecz nawet echo nie chciało powtórzyć jego słów.

Szarość poranka przerwał odgłos wbijanego w drewno ostrza siekiery. Regularny dźwięk roznosił się echem po lesie. Po za tym w okolicy panowała cisza, zupełnie jakby sama puszcza wsłuchiwała się w pieśń ostrza i drewna. Wiele mógł usłyszeć w niej ten, kto potrafił słuchać. Były tu zgrzyt samotności, dudnienie gniewu, piski żalu i bólu. Raz po raz wtórował im odgłos miechów płuc, sapiących z wysiłku. Pod wpływem gniewu dźwięki stawały się coraz szybsze, melodia bezradności pędziła rozbijając się po lesie. Nagle powietrze zawibrowało od przeraźliwego krzyku pełnego skarg i lamentów. Lucjan rzucił siekiere, która utkwiała w pniu najbliższego drzewa. Poczuł, jak złość powoli słabnie. Jednak w jego sercu wezbrała żałość, która przeszła go niczym błyskawica. Chłopak osunął się na ziemię i skulił. Brzegiem rękawa otarł wzbierające do oczu łzy.

— *Co się ze mną dzieje?* — myślał gorączkowo. — *Skąd to nagłe uczucie bezsensu? A w sumie, to co ja tak naprawdę mam dalej robić?* — Chłopak spojrzał na swoją chatę i otaczający ją las. Wspomnił swój trud, jaki włożył, by ujarzmić ten skrawek puszczy. Ile sił kosztowało go to, by mógł czuć, że posiada coś, co nazwałby swoją własnością, swoim domem. Chciał w końcu przestać tulać się z kąta w kąt i być przeganianym z miejsca na miejsce jak bezpański pies. Co mu pozostało? Pusta chata bez radosnych poszczekiwań Shadow, nieme wspomnienia, w których nie rozbrzmiewa już śmiech Mirime. Pozostał tylko mrok puszczy i ludzka wzdarda. Kolejna fala bólu przeszła jego wnętrzości. Zemdlilo go.

— *Nie ma już Shadow* — pomyślał. — *Nie ma już...Ale wciąż mogę polować.* — Ta myśl całkowicie zmieniła jego nastrój. Cała gorycz wyparowała w mgnieniu oka. Chłopak zerwał się na równe nogi i chwyciwszy swój długi łuk pognął leśną ścieżką. Szybko dotarł na ulubione miejsce polowań.

W lesie znajdowały się małe oczka wodne, kryjące się wśród leśnego poszycia. Były to niewielkie otwory w ziemi o średnicy niewiele większej niż jeden metr, ale za to bardzo głębokie. Z łatwością można było nie zauważyć źródelka, kryjącego się wśród roślin. Łatwo utopić się w takim oczku, jednak Lucjan często brał z nich wodę, ponieważ była krystalicznie czysta i wyjątkowo smaczna. Wiele zwierząt również korzystało z nich jako wodopojów. Nad jednym z takich oczek zbierała się każdego ranka grupka dzików, by ugasić pragnienie po nocnym żerowaniu i udać się na odpoczynek w niedostępne ostępy.

Lucjan zakradł się cicho jak kot i pozostając pod osłoną roślin wpatrywał się w zwierzęta wybierając to najsłabsze. Wkrótce je dostrzegł. Był to młody dzik, który akurat zanurzył ryj w wodzie. Miał sporą bliznę na racicy, zapewne pamiątkę po spotkaniu z drapieżnikiem. Odynieć kulał. Lucjan sprawnie założył strzałę na cięciwę. Nie naprężył jej zbyt mocno, bo odległość dzieląca go od zwierzęcia była niewielka. Chłopak instynktownie wypuścił strzałę pawie nie celując. Strzał w dziesiątkę. Pozostałe zwierzęta rozpieczęły się po lesie w przysłowie paniki. Myśliwy podszedł do martwego zwierzęcia. Strzała utkwiała w sercu, nawet niewiele juchy wyciekło z rany. Lucjan uśmiechnął się pod nosem.

— Będę miał sutą kolację, a co — mruknął do siebie. I wtedy, gdy zarzucił zwierzę na kark, by zanieść je do chaty, powróciło uczucie bezsensu i żalu.

— *Przecież nie zjem całego dzika sam, a jest jeszcze zbyt ciepło by mięso poleżało kilka dni, nawet w chłodzie. Może sprzedam je?* — pomyślał. — *A może on jest głodny?* — przemknęło mu przez głowę. Szybko jednak potrząsnął głową i odrzucił pomysł.

— *Mam go gdzieś...* — Jednak po kilku krokach w stronę domu poczuł, że żal kluje go w sercu. Zatrzymał się i westchnął. Nie mógł znieść tego, że w jego myślach wciąż powraca postać Olivera. Najbardziej irytował go fakt, że nie wiedział dlaczego medyk tak go intrygował. Czyżby to przez

niezwykły spokój mężczyzny, a może aurę tajemniczości, która go otaczała? Ciekawość zżerała go od środka, jednak zdawał sobie sprawę, że Olivera nie obchodzi jego osoba. Był tylko środkiem do celu, nikim znaczącym. Nie potraktuje go poważnie, nie zwróci uwagi.

— *A może jednak.... Nie, nie pomogę mu. On mi nie pomógł... Ale przyszedł do lasu i ... Tak, ale miał w tym swój interes. Teraz nie jestem mu potrzebny. Wygoni mnie... Ale może ... Nie, nie, nie! Nie pójdę do niego* — Tak klóiąc się ze sobą w myślach, zupełnie podświadomie poszedł prosto w kierunku Al'Dongur.

Dochodziło południe, gdy Lucjan stanął w odrzwiach biblioteki. Położył truchło dzika przy wejściu i rozejrzał się po wnętrzu. Posadzka została starannie zamieciona, a bluszcz i mech pokrywający ściany zerwany. Przy stole wciąż stało krzesło, które Oliver przyniósł z drugiej sali. Na oparciu krzesła wisiała kurtka medyka a obok leżał wypchany czymś worek. Na stole piętrzyły się sterty książek i zwoi. Część z nich ułożono w stosy, inne leżały otwarte. Kilka tomów położono na podłodze obok mebla. W przedsionku brakowało tylko medyka. Lucjan przeszedł do głównej sali. Tutaj również dostrzegł działalność mężczyzny. Z kątów zniknęły pajęczyny, a z posadzki sprzątnięto kawałki szkła i stronnice wysłużonych książek. Chłopak słysząc szelest przekręcanych stronic wszedł między regały i ... aż otworzył usta ze zdumienia. Przed nim stała ustawiona z krzeseł piramida. Opierały się one tylko na jednej nodze bądź na poręczach. Na szczycie konstrukcji siedział Oliver i czytał księgę dwukrotnie większą niż jego głowa. Lucjan nie miał pojęcia w jaki sposób krzesła nie wywróciły się mimo, że konstrukcja wyglądała niestabilnie.

— Trzy dni — powiedział Oliver nie podnosząc wzroku znad księgi. — Obstawiałem, że aż tyle nie wytrzymasz i przyjdiesz wcześniej. — Mężczyzna spojrzał na Lucjana i z trzaskiem zamknął księgę.

— Trzymaj — rzekł rzucając w chłopaka książką. Lucjan w ostatniej chwili chwycił wolumin zanim ten uderzyłby go w twarz. Okazał się bardzo ciężki. Oliver zeskoczył z piramidy i przeszedł obok Lucjana. Ten wodził za nim wzrokiem wciąż mając otwarte ze zdziwienia usta. Medyk prychnął i gwałtownie zamknął mu usta, podbijając do góry żuchwę. Chłopak stuknął zębami.

— Znasz to ludowe powiedzenie odnośnie trzymania otwartych ust? — zapytał.

— T..tak, znam — jęknął wciąż zdeorientowany chłopak i poszedł za Oliverem do przedsionka.

— Byłem ciekaw...

— Wiem, że przyszedłeś tu z ciekawości — przerwał mu Oliver siadając przy stole. — Dziękuję za troskę — dodał spostrzegłszy martwego dzika. — Połóż tu książkę i poczęstuj się jabłkiem. — Wskazał na położone na stole owoce. Lucjan poczuł palący gniew. Rzucił książkę na blat i obróciwszy się tyłem do medyka począł narzekać:

— No wiedziałem, że tak będzie. Po co lażem taki kawał drogi z tym... z tym — tu wskazał ręką na dzika — Ach, głupiś, głupiś!! — I począł walić wierzchem dłoni w czoło. — A właściwie skąd ma pan te jabłka? — spytał uświadomiwszy sobie propozycję poczęstunku.

— Z drzewa — odparł Oliver wciąż skupiony na tekście.

— Nie może być! A ja myślałem, że jabłka rosną w ziemi — rzekł z ironią Lucjan. Ciało medyka drgnęło w rozbawieniu.

— Siądź chłopcze i częstuj się.

— Na czym mam usiąść?

— Na podłodze nie brakuje miejsca, ale możesz wziąć sobie krzesło z sali.

— A jak mam zdjąć krzesło ze szczytu tej piramidy? Przecież to dobre trzy metry nad ziemią!

— To wyjmij krzesło z dołu...

— ..a reszta niech spadnie ci na łeb — dokończył rozniewany Lucjan.

— Robisz z igły widły — odparł Oliver i wyciągnął spod stołu stołek, którego Lucjan nie zauważył, bo zasłaniał go stos książek. Chłopak westchnął i przysiadł obok Olivera. Spojrzał na leżącą przed nim księgę. Pożółkłe stronnice wypełniały rzędy falistych znaków. Delikatne pismo poprzepłatane zostało czarno-białymi ilustracjami.

— Znam tę roślinę — powiedział Lucjan wskazując palcem na jeden z rysunków. — Rośnie jej pełno nad mokradłami.

— To żabieniec — odparł medyk i przekreślił stronę.

— Czyżby szukał pan jakiejś tajemniczej rośliny, która dawałaby panu moc władania nad umysłami, albo, albo... no nie wiem. Nieśmiertelność? — Oliver spojrzał na Lucjana i uniósł brew do góry.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — spytał zdziwiony. — Albo masz bardzo bujną wyobraźnię, albo słyszałeś za dużo legend. Elixir nieśmiertelności? A to dobre — prychnął.

— No, nie wiem. — odparł zawstydzony chłopak ocierając sok jabłkowy z podbródka. — Tak tylko pytam — dodał z pełnymi ustami, gdyż znów ugryzł jabłko. Mężczyzna siadł na krześle bokiem i spojrzał w kierunku regałów z książkami.

— Znalazł pan chociaż jakiś trop? — spytał myśliwy wciąż żując jabłko.

— Całe to miejsce jest dla mnie wskazówką. Tylko ktoś porozcinał tą wskazówkę na kawałki, więc najpierw muszę je poukładać, by móc je potem odczytać. Tylko równie dobrze mógłbym układać bułkę z okruszków. — Mężczyźni zamilkli. Lucjan łapczywie sięgnął po kolejne jabłko. Oliver oparł głowę na dłoni. Przyglądał się chwilę jak chłopak zjada owoc za owocem i rzekł:

— Nie jedz tyle, bo cię brzuch rozboli.

— Ta, bo już wierzę, że aż tak się pan o mnie martwi — odparł Lucjan z oburzeniem i pełnymi ustami, ale nie wziął kolejnego owocu do ręki. — Dużo przeczytał pan książek w swoim życiu? — spytał, by zmienić temat.

— Bardzo dużo — odpowiedział Oliver przyglądając się tomom leżącym na blacie stołu.

— To ile ma pan lat?

— A co ma z tym wspólnego wiek? — odparł, ale za chwilę dodał: — Mam tyle lat, na ile mnie oceniasz.

— Czyli pięćdziesiąt? — zażartował Lucjan, ale chłodne spojrzenie Olivera sprawiło, że uśmiech zszedł mu z ust.

— Jeżeli przyszedłeś tu, żeby mi przeszkadzać, to lepiej idź sobie. Muszę dzisiaj wrócić do Drindwa, a chcę jeszcze przejrzeć te książki. — Tu wskazał na leżące pod stołem księgi.

— Po co chce pan wracać do Drindwa?

— Nie sądzisz, że byłoby trochę dziwne, gdyby medyk nagle zniknął z miasta na dobre? Po za tym, muszę gdzieś zarobić pieniądze na dalszą podróż.

— Wyrusza pan dalej? — spytał zaskoczony Lucjan. — A co, jeśli znajdzie pan tu odpowiedź na zagadkę?

— Również wyjadę — odparł gniewnie medyk. Lucjan odwrócił głowę i posmutniał. Sądził, że uda mu się więcej czasu spędzić z Oliverem, usłyszeć od medyka opowieści z dalekich krain. Chciał po prostu w jakiś sposób wypełnić pustkę, chociaż dobrze wiedział, że Oliver nie jest typem osoby, która zechce podzielić się swoim cennym czasem. Westchnął.

Oliver spojrzał na myśliwego, który wstał od stołu i zaczął chodzić wzdłuż regałów z książkami. Na twarzy młodzieńca malował się niemy zachwyt, gdy patrzył na rzędy ksiąg. Jego błękitne oczy stały się jeszcze większe, niż zazwyczaj. Myśliwy wyciągnął powoli rękę i dotknął delikatnie jednego z wolumenów. Poglądził grzbiet książki i bardzo ostrożnie wysunął z półki. Otworzył ją i zapatrzył się w stronnice. Trzymał książkę drżącymi dłońmi, jak gdyby była rzeczą świętą, a on największym grzesznikiem, który dostąpił zaszczytu dotknięcia jej.

— Lubisz książki Lucjanie? — spytał Oliver. Lucjan drgnął gwałtownie zaskoczony słowami. Tak bardzo zapatrzył się w rysunek, że nie spostrzegł, jak Oliver stanął obok niego i zagląda mu przez ramię. Z przestachu o mało nie wypuścił książki. Spojrzał szeroko otwartymi oczami na medyka, ale dostrzegł tylko spokojne spojrzenie złotych oczu. Spuścił wzrok.

— Nie wiem. Lubię jednak tu przychodzić i je oglądać. Niektóre rysunki są jak żywe — odparł — Ten wygląda niesamowicie. — Ilustracja przedstawiała twarz młodego mężczyzny. Był to zapewne portret jakiegoś władcy, albo innej zamożnej osoby.

— Nigdy ich nie czytasz? — spytał chłodno Oliver nie patrząc na rysunek. Lucjan odwrócił wzrok i mocnej ścisnął księgę. Zapadło milczenie, a na policzki wystąpił mu rumieniec wstydu.

— Ja nie umiem czytać — powiedział cicho, wstydliwie. — Potrafię odczytywać jedynie liczby i tylko liczby potrafię zapisać.

— A chciałbyś się nauczyć? — spytał Oliver. Lucjan spojrzał na mężczyznę i odparł słabym głosem:

— Myślałem, że się panu bardzo się śpieszy...Na pewno mógłby pan to zrobić?

— Nie tak brzmiało moje pytanie — odpowiedział Oliver unosząc gniewnie brew. — Po prostu powiedz: tak lub nie. — Lucjan nie odpowiedział. Zamyślił się i już chciał powiedzieć, że nie, gdy jego głowa automatycznie kiwnęła w geście na „tak”.

— Usiądź przy stole. — Lucjan posłusznie wykonał polecenie. Serce zabiło mu mocniej. Był dziwnie szczęśliwy. Czuł się jak małe dziecko, które dostało od babci ulubione łakocie.

— Pokaż tę książkę. — Chłopak wręczył delikatnie wolumin medykowi. Oliver prychnął przeczytawszy tytuł.

— Lepiej nie mogło ci się trafić.

— Co to za książka? — spytał Lucjan widząc, jak Oliver zaczyna przekartkować księgę.

— „Baśnie z Turbry”.

— Turby? — spytał zdziwiony Lucjan.

— To takie miasto leżące daleko na południu. O! — zawołał zatrzymując się na jednej ze stron — Myślę, że ta opowieść ci się spodoba. Spójrz — rzekł siadając obok Lucjana. — To jest „A”. Pierwsza litera większości znanych mi alfabetów.

— Większości? — spytał myśliwy.

— Od reguł zawsze są jakieś wyjątki — odparł Oliver.

— Ale niech pan sam spojrzy! Jaka ona jest blada — krzyknęła starsza kobieta siedząca przed Oliverem. Medyk spojrzał na córkę kobiety. Dziewczyna była tak zawstydzona, że ledwo siedziała na krzeselku. Jej policzki oblały rumieniec. Nie pierwszy raz Oliver spotkał się z taką sytuacją. Otóż przychodzi do niego kobieta z córką i za wszelką cenę próbuje wymyślić jakąś chorobę. W czasie wyliczania symptomów zmyślnego schorzenia rozmowa dziwnym trafem przechodzi na temat ożenku. Cóż. Mieć w rodzinie lekarza to wielki prestiż. Olivera nużyły jednak takie zachowania. Spojrzał jeszcze raz na dziewczynę. Była naprawdę śliczna. Okaz zdrowia.

— Droga pani. Zapewniam panią, że córka jest zdrowa jak rydz. Ale zauważyłem, że pani nie najlepiej wygląda. Czy na pewno dobrze się pani czuje? — Kobieta spłonęła rumieńcem, gdy medyk przyłożył dłoń do jej czoła, badając czy nie ma podwyższonej temperatury. Jej córka zachichotała.

— Nie, nie! — powiedziała przerażona kobieta i szybko wstała, by odsunąć się od medyka. — Nic mi nie jest. Zapewniam pana, że jestem całkowicie zdrowa. Skoro nic nie dolega mojej gołąbeczce to pozwoli pan, że już sobie pójdziemy. Dziękujemy i przepraszamy za kłopot — rzekła i skinąwszy

na córkę wyszła z pomieszczenia. Młoda dziewczyna podążyła za nią, ale zanim wyszła odwróciła się w progu i z wielkim uśmiechem na twarzy rzekła:

— Przepraszam, za to całe zamieszanie. Do widzenia — Dziewczyna uśmiechnęła się i jej postać zniknęła za drzwiami.

Oliver westchnął. Dzisiejszy dzień był naprawdę nużący. Praca szła mu opornie. Czasami zastanawiał się w jaki sposób osady funkcjonują bez uzdrowicieli na co dzień. Przychodziło do niego całe mnóstwo ludzi: jedni z prawdziwymi schorzeniami, a inni ze zmyślonymi byleby tylko zobaczyć „obcego”. Tak. W każdej większej miejscowości przydałaby się osoba z wykształceniem, która pomagałaby ulżyć ludziom w ich cierpieniach. Tylko, czy wtedy jego zawód cieszyłby się aż takim szacunkiem? Oliver odłożył jednak te rozważania na kiedy indziej. Miał teraz inne sprawy na głowie. Kalkulował w myślach ile czasu zostało do zimy, a ile potrzeba mu, by przebyć przełęcz w Górach Italskich. Z tego, co wyliczył mógł już tylko trzy dni pozostać tutaj. Mógł też zmienić cel podróży i udać się na wschód. Gdy tak rozmyślał powoli zaczynał powątpiewać w to, czy znajdzie w Al'Dongur cokolwiek. Księgozbiór był bogaty, ale czy kryje się wśród niego odpowiedź na jego pytania. Właśnie. Al'Dongur. By dotrzeć tam potrzeba około sześciu godzin marszu. Oznacza to, że jeśli chce jutro rano zacząć dalej przeszukiwać księgozbiór, to musi wyruszyć z Drindwa około północy.

Medyk wyrzwał za drzwi balkonowe. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Na niebie zabłyśła ognista łuna. Oliver wyszedł na balkon. Siadł na ławce, oparł plecy o ścianę, a nogi założył na poręcz. Nabił fajkę i już po chwili otoczył go obłoczek tytoniowego dymu. Oliver przeciągnął się i wtedy między fałdami koszuli mignął mu złoty ognek. Oliver zdjął z szyi naszyjnik i podniósł go na wysokość oczu. Przez chwilę wydawało mu się, że zwierzęta z rysunku poruszają się i zaraz wyskoczą z medalionu. Trwało to jednak tylko ułamek sekundy. Oliver dobrze wiedział, że to złudzenie. Kolejny raz zachwycił go kunszt rzemieślniczy. Bardzo był ciekaw, kto jest autorem tego dzieła. Cóż, kolejne pytanie bez odpowiedzi. Oliver ścisnął mocno medalion w dłoni i zaraz poczuł jak powierzchnia metalu rozgrzewa się. Nie nagrzała się jednak od jego ciała, lecz biła własnym ciepłem. Zupełnie jak żywa istota. Oliver przymknął oczy i wkrótce poczuł jak przez rękę przebiega mu silny dreszcz. Dobrze wiedział, że może zadać tylko jedno pytanie. Musi wybrać rozsądnie, a jeżeli uda mu się dobrze dobrać słowa, to otrzyma odpowiedź na wiele innych tajemnic. Medyk wziął głęboki wdech i pozwolił, by jego myśli biegły swobodnie. Już wiedział, o co zapytać. Zaraz poczuł, jak powierzchnia medalionu zaczyna wibrować i parzyć go w dłoń. Po woli rozwarł powieki i spojrzał na rewers medalionu. Przedstawiał on ogromne drzewo o bujnej koronie. Oliver przyjrzał się rysunkowi dokładniej. Na gałęziach rośliny rosły okrągłe owoce.

— Jabłka — mruknął i z powrotem zwiesił medalion na szyi. Miło był znów czuć jego ciężar i ciepło na piersi.

— *Jabłka...* — powtórzył jeszcze raz w myślach. Nie bardzo wiedział, co o tym myśleć, więc dopalił fajkę i nawet nie zdejmując butów położył się na łóżku. Wkrótce zapadł w głęboki sen.

Następnego dnia, kilka minut po wschodzie słońca Oliver znów stanął przed gmachem biblioteki. Przysiadł na zniszczonym murku, który otaczał plac. Mężczyzna ziewnął i przeciągnął się. Nocny marsz przez puszcę był uciążliwy, szczególnie, że większość trasy wiodła pod górę. Oliver nabił fajkę tytoniem i zaciągnął się gęstym dymem. Rześkie powietrze i fajkowy dym skutecznie strząsnęły z jego oczu resztkę snu. Pociągnął nosem i rozejrzał po okolicy. Skąpany we mgle krajobraz zdał mu się brudny i szary. Powietrze wypełniał jedynie szum płynącej wody. Poza tym

Oliver nie usłyszał nic. Żadnego odgłosu zwierząt leśnych, śpiewu ptaków. Nic. Spojrzał w dal, na horyzont. Wtem dostrzegł czarną smugę wijącą się pośród drzew.

— *Dym?* — pomyślał. Wcześniej też widział smugi na horyzoncie, jednak dopiero teraz dostrzegł, że za każdym razem dym jest coraz bliżej Al'Dongur i nie jest on wynikiem działania sił natury tylko ludzi.

— *Lepiej jak najszybciej się stąd zabierać. Ten dym nie wróży niczego dobrego* — przemknęło mu przez myśli. Zgaśli fajkę i poszedł do biblioteki. Już miał wejść do budynku, ale przystanął w progu, założył ręce, oparł się o futrynę i kręcąc głową mruknął:

— Uparta sztuka, nie ma co.

Na krześle przy stole siedział Lucjan z głową opartą o położone na blacie stołu ręce. Pod jego rękami leżała otwarta książka. Najwidoczniej chłopak usnął podczas czytania. Myśliwy oddychał miarowo. Ciało zeszywniałe po całonocnym ułożeniu w siedzącej pozycji wyglądało na bardzo kruche, porcelanowe. Dopiero teraz dotarło do medyka, jak bardzo młody był myśliwy. Chłopak mógł mieć najwyżej dziewiętnaście lat. Twarz miał łagodną, pokrytą pierwszym, drobnym zarostem. Nos i policzki znaczyły mu drobne zadrapania, a pod lewym okiem miał czerwoną, wąską bliznę. Długie włosy spadały falami na jego plecy. Bujna grzywka, którą zazwyczaj podpinął lub zaczesywał na bok teraz sterczała zadarta go góry.

Oliver podszedł do Lucjana. Zdjął kurtkę i położył ją delikatnie na plecach chłopaka, uważając by go nie zbudzić. Był niemal pewny, że chłopak czytał całą noc, a zasnął przed samym świtem. Świadczyła o tym chociażby świeczka, która stała obok głowy chłopca i była niemal całkowicie wypalona. Medyk musiał przyznać, że Lucjan okazał się bardzo bystry i szybko zapamiętał litery. Gdy go zostawił, by udać się do Drindwa, ten bez problemu sylabizował już całe zdania. Obiecał, że nie będzie długo siedział nad książkami, ale najwyraźniej nie dotrzymał słowa. Oliver pochylił się nad ramieniem chłopca by zobaczyć co to za książka, która tak bardzo wciągnęła młodzieńca. Niewiele było widać, ponieważ chłopak zakrył ciałem prawie całą powierzchnię tekstu, ale uwagę Olivera przykuł dziwny znak:



Serce mężczyzny gwałtownie przyśpieszyło. Medyk chwycił się oparcia krzesła i ścisnął z całej siły. Rozpoznał ten symbol. Wspomnienia uderzyły w niego z całą mocą. Oto stał przed ogromną ścianą, na której wyrzeźbiono identyczny znak jaki widniał na ilustracji. Wyciągnął rękę i przesunął po żłobieniach. I wtem znów stał w bibliotece. Mimo że zaciskał dłonie na drewnianym oparciu, to wciąż czuł na palcach chłód granitowej ściany. Szybko wyciągnął księgę spod głowy Lucjana. Czoło chłopca uderzyło o blat. Chłopak przebudził się.

— Aaaaj.. — jęknął cicho pocierając czoło. — Mógłby pan być bardziej delikatny — dodał dostrzegwszy medyka. Lecz ten go nie słuchał. Trzymał książkę drżącymi rękami i przyglądał się symbolowi. Serce waliło mu jak młot. Tekst był miejscami zatarty, ale dało się go odczytać.

— Gdzie ją znalazłeś? — spytał Oliver głosem zupełnie spokojnym, w przeciwieństwie do jego faktycznego stanu. Lucjan nie bardzo rozumiejąc co się dzieje popatrzył sennie na książkę.

— Stała tam... — machnął ręką w nieokreślonym kierunku i zaczął przecierać zaspane oczy.



— Tam, to znaczy gdzie? — spytał gniewnie Oliver.

— Na pierwszym rerere..gachle — ziewnął Lucjan. — Zaraz z brzegu, na dolnej półce.

— A więc trop był tak blisko — mruknął Oliver. Mężczyzna podszedł do wejścia wciąż wpatrując się w narysowany symbol. W głowie szalała mu burza myśli. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Ile lat tułał się w poszukiwaniu odpowiedzi? Dziesięć? A może więcej.

Lucjan podszedł do stojącego w progu Olivera. Mężczyzna czytał tekst pocierając przy tym policzek kciukiem. Mimo, że wyglądał spokojnie, Lucjan nie chciał się nawet domyślać jak wiele emocji musi szarpać jego wnętrzem w tej chwili. W końcu chłopak odezwał się słabym głosem:

— Czy tego pan właśnie szukał? — spytał, ale nie otrzymał odpowiedzi. Medyk zamknął księgę i jak zahipnotyzowany ruszył się z miejsca i usiadł przy stole. Lucjan wpatrywał się w jego twarz, szukając śladów jakichkolwiek emocji, ale dostrzegł tylko chłód bijący od jego oczu.

— Zastanawia mnie jedno — zaczął. — W jaki sposób pańskie oczy, chociaż mają taki ciepły kolor, są tak niewiarygodnie chłodne.... — Oliver popatrzył spod łba na Lucjana.

— Ta uwaga jest kompletnie nie na miejscu.

— Ale przynajmniej przerwała ciszę — odparł ze słabym uśmiechem Lucjan. Oliver wydał wargi.

— To kolejny trop — wskazał na księgę.

— I co pan zrobi dalej? — spytał podekscytowany Lucjan

— Chciałbyś wiedzieć więcej, co? — Na potwierdzenie Lucjan kiwnął energicznie głową.

— Też bym chciał. Ale o pustym żołądku źle się myśli.

— A przy jedzeniu lepiej się rozmawia — odparł rozradowany Lucjan. Oliver oparł głowę na dłoni i z nutką drwiny w głosie odparł:

— To miłe z twojej strony, że zgłosiłeś się na ochotnika.

— Ochotnika do czego?

— Zrobienia śniadania.

Na śniadanie Lucjan przygotował gulasz z okrawków, które zostały z dzika. Resztę mięsa udało mu się sprzedać i to po dość dobrej cenie. Myśliwy doprawił potrawę ziołami, a z resztek mąki, którą przyniósł wczoraj z domu, upiekł dwa duże podptomyki.

— Smaczne — mruknął Oliver i nalał sobie dodatkę. — Całkiem dobrze gotujesz.

— Sądzę, że jadał pan lepsze rzeczy — odparł myśliwy z grymasem niezadowolenia na twarzy.

— Sztuką jest zrobić coś z niczego.

— Może i ma pan rację. — Chłopak westchnął i odstawił swoją miskę na stół. Przeciągnął się. Oliver też skończył jeść posiłek. Chwilę później otoczyły go kłęby fajkowego dymu. Mężczyźni siedzieli w milczeniu. Medyk najwyraźniej rozmyślał. Lucjan po prostu czekał, aż ten się odezwie. Chłopak próbował odgadnąć co może oznaczać dziwny symbol z księgi. Nie przypominał on żadnej poznanej przez niego litery. Może więc pochodziła z innego alfabetu? Lucjan spojrzał na Olivera, który wciąż pogrążony był w swoich myślach. Niczego jednak nie potrafił odczytać z kamiennej twarzy medyka. Wtedy jego wzrok przykuł medalion, który błyszczał w promieniach wschodzącego słońca. Lucjan znów zachwyił się niesamowitym realizmem w wykonaniu zwierząt. Dłoń Olivera chwyciła za naszyjnik i załoniła skomplikowany rysunek. Lucjan poczuł, jakby właśnie wybudził się z głębokiego snu. Spojrzał nieśmiało na Olivera.

— Wiesz, że patrzysz na medalion już dobre pięć minut? — spytał chłodno.

— To niemożliwe! — zakrzyknął zaskoczony Lucjan. — Przecież dopiero co go dostrzegłem! — Chłopak próbował zaprzeczyć, ale Oliver zdawał się być niewzruszony.

— Nie słuchasz mnie. Prosiłem cię, byś nie patrzył na medalion — odparł rozniewany Olivier i schował naszyjnik za koszulę.

— Czy... — zaczął nieśmiało Lucjan — Czy ma on jakąś niezwykłą moc?

— Nie jestem tego pewien, ale tak. Nie jest to bynajmniej zwykła błyskotka — odparł Oliver i wypuścił przez nos kłęby dymu. Jego oczy rozbłysły od ogników z fajki. W tym momencie wyglądał prawie tak samo jak złoty smok z płaskorzeźby.

— Jest niezwykle piękny...Skąd pan go ma?

— Medalion to symbol mojego cechu. Wysocy rangą uzdrowiciele otrzymują taki naszyjnik. Jest on zarówno naszą pieczęcią jak i przepustką za każde drzwi. Przedstawia on siedem zwierząt, jak pewnie zdążyłeś zauważyć.

— Dlaczego akurat te zwierzęta? — spytał Lucjan przeczuwając, że jeśli chce wyciągnąć od medyka jakieś informacje to właśnie teraz.

— To nie jest przypadek. Siedem zwierząt to symbole siedmiu wielkich państw naszego świata. Lew toCimidos, tur – Doliatar, niedźwiedź – Bokangrid, wilk – Elainim, orzeł – Fezdor, kozica – Agrdam, a ryby pochodzą z godła Geterry. Świadczy to o tym, że jako uzdrowiciel podlegam prawom i władzom tych krain i mogę poruszać się swobodnie przez ich terytoria.

— A symbol z książki? — zmienił temat Lucjan.

— To bardzo stara runa — odparł Oliver, chociaż myśliwy sądził, że nie otrzyma odpowiedzi. Mężczyźni zamilkli. Oliver bez słowa wstał od stołu i wyszedł z gmachu biblioteki. Lucjan poszedł za nim trzymając się jednak parę kroków z tyłu. Mężczyźni przecięli plac i weszli do jednego z przejść. Na początku tunel był ciemny, ale wkrótce jego ściany pokryły witraże, sprawiając, że wewnątrz wypełniło się tęczowym blaskiem. Oliver przystanął przed jednym z nich przedstawiającym pawia o przepięknym, ogromnym ogonie. Lucjan również zatrzymał się, ale wciąż utrzymywał pewien dystans od medyka. Oparł się o ścianę i zapytał:

— Czego pan właściwie szuka?

— Chciałbym to wiedzieć... — mruknął Oliver nie odrywając wzroku od kolorowych szkielek.

— Jak to? Nie wie pan czego szuka? Więc po co tyle wysiłku włożonego w przeszukiwanie biblioteki? — odparł oburzony Lucjan.

— Nie w tym rzecz chłopcze — westchnął medyk. — To wszystko jest dość skomplikowane i trudne do wyjaśnienia. Ale kolejny trop odnaleziony, kolejny okrucz szklanej układanki dopasowany.

— A więc zamiast złapać króliczka, pan go po prostu goni?

— Dziwne porównanie. Myślę, że nie zrozumieliśmy się.

— Bo pan tak jakoś mąci, że już nic nie rozumiem!

— I nie musisz. Jeszcze dzisiaj wyruszę do Geterry. Chyba tutaj nasze drogi się rozchodzą. — Mężczyźni zamilkli. Lucjan spościnał. Medyk podszedł do chłopca i stanął naprzeciwko niego.

— Dziękuję za okazaną mi pomoc, bo jak to sam trafnie ująłeś, gdyby nie ty wciąż włóczyłbym się po lesie — i wyciągnął do niego dłoń. Spojrzał w oczy chłopca. Błyszcząły i odbijały kolorowe światła witraża. Myśliwy nie uściśnął jednak dłoni Oliviera.

— Mam do pana ostatnią prośbę — rzekł i spojrzał na medyka szeroko otwartymi oczami, jakby był czymś przerażony.

— Mów. Jestem ci rzeczywiście winien przysługę — odparł Oliver, na co Lucjan wziął głęboki wdech i jednym tchem powiedział:

— Proszę. Zabierz mnie ze sobą. — Myśliwy cały drżał od emocji. Oddychał szybko. Cieszył się, że wciąż opierał się o ścianę, bo gdyby nie to nie ustał by na nogach i runął na ziemię jak długi. Olivera nie zaskoczyła jego prośba. Potarł kciukiem policzek w zamyśleniu i już miał nie odpowiedzieć, że nie zamierza brać go ze sobą, gdy rozległo się głośne pacnięcie. Mężczyźni instynktownie odwrócili

się w kierunku, z którego dobiegał dźwięk. Okazało się, że za oknem rośla jabłoni, a ten dziwny odgłos wydało jabłko, spadające z gałęzi. Owoc potoczył się po ziemi, a potem po drewnianych kładkach, które pokrywały podłogę przejścia.

— Jabłko... — mruknął Oliver i podszedł do leżącego owocu. Podniósł go na wysokość oczu i uśmiechnął triumfatorsko.

— Wiesz co Lucjanie? Przyda mi się kucharz, ale pamiętaj.... — medyk odwrócił się do chłopaka tyłem i niespodziewanie rzucił owoc, w jego kierunku, tak iż ten ledwo zdążył go złapać — ...na podwieczorki jadam jabłka.

— Czyli zabierze mnie pan? — spytał niedowierzając.

— Tak — odparł z westchnieniem Oliver. — I już zaczynam żałować — mruknął tak cicho, by nikt go nie usłyszał. Z resztą, Lucjan był za bardzo zajęty krzyčeniem z radości przeciągniętego „Tak!”. Podbiegł do medyka. Oliver odsunął się odruchowo widząc, że chłopak zamierza go przytulić.

Wyciągnął ręce przed siebie w obronnym geście i niemal krzyknął:

— Ej, uspokój się, albo zaraz zmienię zdanie!

— Przepraszam... chyba mnie poniosło — oparł zawstydzony Lucjan. — Tylko jest jeszcze jeden problem — dodał z uśmiechem niewiniątka na twarzy. — Nie mogę tak zostawić siostry. — Oliver przeciągnął ręką po włosach. Przysiadł na posadzce i z westchnieniem mruknął:

— Chyba muszę zapalić.

Gwar rozmów pięknych dziewczyn przerwało nagłe otwarcie drzwi komnaty. W sali zapadło milczenie, a dziewczęta zamarły w bezruchu. Wszystkie szeroko otwarte oczy zwróciły się w kierunku wejścia. W progu stał wysoki mężczyzna o niezwykłych, słomianych włosach. Omiótł spojrzeniem całe pomieszczenie, zupełnie jakby szukał czegoś. W końcu jego wzrok zatrzymał się na jednej z dziewcząt. Młoda dama siedziała na brzegu łóżka i trzymała w ręku robótkę ręczną. Miała długie orzechowe włosy i soczyście zielone oczy. Dziewczyna najwyraźniej rozpoznała nieznanego. Ich spojrzenie skrzyżowały się. Niewiasta ścisnęła mocniej haftowaną tkaninę ni to ze strachu, ni to ze złości. Nikt jednak nie odezwał się, bo do komnaty wpadła jak burza pani Starsza. Ujrawszy medyka oblała się rumieńcem złości i krzyknęła:

— Co pan tutaj robi?!! Do tego pomieszczenia nie ma prawa wejść żaden mężczyzna!! Proszę natychmiast opuścić salę! — Fałdy sukni pani Starszej zaszeleściły złowieszczco, gdy ta podeszła do Olivera.

— Miło znów panią widzieć — odparł medyk i wykonał głęboki ukłon przed kobietą. — Właśnie przyszedłem, by się z panią zobaczyć, gdyż mam do pani interes wielkiej wagi.

— Pan tu przyszedł?! Pan się tu bestialsko wdarał! — odparła pani Starsza, ale gniew powoli ją opuszczał.

— Ponieważ śpieszy mi się bardzo, to od razu przejdę do rzeczy. Przyszedłem tu w sprawie tej oto dziewczyny — tu wskazała dłonią na Mirime. Oczy wszystkich zebranych automatycznie skierowały się w jej stronę. Medyk odchrząknął i uroczystym głosem rzekł:

— Ja, Oliver Terg, członek Rady Siedmiu Państw, wierny poddany króla Bondara, władcy Geterry, a przede wszystkim medyk i wędrowny sprzedawca lekarstw proszę panią o rękę Mirimy Lighlawet. Rezygnuję jednak z należnego jej posagu i aby wynagrodzić straty wyrządzone pani i mieszkankom Domu Kobiet zobowiązuję się zapłacić dziesięć tysięcy złotych dukatów rekompensaty.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Mirime zbładła i lekko rozchyliła usta ze zdziwienia. Robótka wyleciała jej z dłoni.

— Ile? Dziesięć tysięcy złotych dukatów?! — krzyknęła Hiacynta i zastygła ze zdumieniem na twarzy. Dziewczęta nieśmiało wymieniły między sobą spojrzenie, apotem ich wzrok padł na Mirime. Dziewczyna ledwo siedziała na łóżku. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

— To... — bąknęła pani Starsza — Niezwykle dobra propozycja — rzekła w końcu. Była nie mniej zszokowana niż pozostałe damy.

— Rozumiem, więc, że zgadza się pani. Ślub odbędzie się za godzinę. Resztę formalności dokończymy zaraz po ceremonii. — rzekł Oliver, ukłonił się pani starszej, a potem ku zaskoczeniu całej reszty podszedł do Mirime i chwyciwszy jej dłoń złożył na niej delikatny pocałunek. Ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz, ale nie zarumieniła się, tylko spojrzała wrogo w oczy medyka. Mężczyzna opuścił salę. Niemal natychmiast w pomieszczeniu zapadł gwar. Dziewczyny zasypały Mirime gradem pytań, ale pani Starsza uciszyła je.

— Przygotujcie ją do ślubu. Dajcie najlepszą suknię. Ma być gotowa za pół godziny. — Na te słowa Mirime zerwała się z miejsca i podeszła do kobiety. Cała się trzęsła, bynajmniej nie ze strachu.

— A kim ty jesteś, żeby decydować o moim losie? — wycodziła przez zaciśnięte zęby. Spojrzała na nią nienawistnym wzrokiem.

— Na litość boską! Choć raz posłuchaj się mnie i zrób co ci każe!

— Sprzedałaś mnie.... Jak jakąś niewolnicę — odparła Mirime, a słowa z trudem przeszły jej przez gardło. W sercu dziewczyny wezbrała złość i żałość, gdy zobaczyła jak twarz kobiety przyoblała się wzdargą.

— Od samego początku wiedziałam, że nie należy brać dziewczyny z ulicy. Wy zawsze będziecie brudne i nie macie żadnego pojęcia o czymś takim jak posłuszeństwo, czy szacunek. Cieszę się, że w końcu się ciebie pozbędę. Sprawiałaś same kłopoty. — Na te słowa Mirime przestała hamować w sobie gniew i wymierzyła kobiecie siarczasty policzek. Pani Starsza zupełnie nie spodziewając się ciosu, zachwiała się i omal nie upadła na podłogę.

— Zabierzcie to dziecko i przyszykujcie jak trzeba — i szybko wyszła z sali trzaskając za sobą drzwiami. Dziewczęta z przestraschem podeszły do Mirime.

— Choć, pomogę ci się ubrać — rzekła w końcu Hiacynta. W odpowiedzi Mirime skinęła głową. Poszły obydwie do pokoju Mirime. Dziewczyna obmyła się, po czym jej młodsza koleżanka natarła jej ciało olejkami. W tym samym czasie inna z panien przyniosła piękną suknię w białym kolorze. Mirime szybko się ubrała, a Hiacynta pomogła jej związać gorset. Następnie wzięła szczotkę i poczęła rozczesywać włosy przyjaciółki. W czasie przygotowań nie odezwały się do siebie. W sercu Mirime szalały skrajne emocje. Dziewczyna sama już nie wiedziała, co ma sądzić o całej sytuacji. W końcu westchnęła i posmutniała. Widząc to Hiacynta rzekła:

— Nie martw się... i uważaj na siebie — po czym również posmutniała.

— To było chyba pierwsze mądre zdanie jakie wypowiedziałaś odkąd cię znam — odparła Mirime i uśmiechnęła się do koleżanki. Dziewczynka odwzajemniła uśmiech.

— Dziękuję za wszystko... — rzekła i opuściła Dom Kobiet. Miała już go nigdy nie zobaczyć. Mimo, że nie przepadała za tym miejscem, traktowała wręcz jak więzienie, to nagle zrobiło jej się smutno. W końcu mimo rygoru panującego w tych murach, wiodła w nimi sielankowe życie.

Na ślub zawieziono ją powozem. W trakcie drogi do świątyni dziewczyna bacznie przyglądała się okolicy. Tak dawno nie widziała nic poza murami Domu Kobiet, że teraz zwykłe i brudne uliczki wydały się jej nagle piękne i niezwykłe. Ale, czy wkrótce będzie mogła je zobaczyć? Jaki los czeka ją jako żony tajemniczego medyka?

Świątynia była duża. Naprzeciwko wejścia znajdował się półokrągły podest, a na nim ołtarz. Wokoło niego rozstawiono ławki. W ceremonii uczestniczyło tylko kilka osób: pani Starsza i kilka starszych dwórek. Gdy Mirime weszła do przedsionka drogę zastąpiła jej pani Starsza.

— Tylko bez żadnych kłopotów — ostrzegła ją i powiodła przed ołtarz. Oliver już czekał na nią. Stał na podniesieniu. Ubrany był w białą koszulę ozdobioną czerwonym haftem. Miał na sobie szerokie, granatowe spodnie i ozdobny pas. Stał na podwyższeniu. Blask słonecznych promieni padających na ołtarz otoczył jego postać i rozświetlił jego włosy tak, iż zdawało się, że ma nad głową złotą aureolę. Ujrzawszy pannę młodą uśmiechnął się lekko, ale niewesoło. Zmierzył dziewczynę wzrokiem. Miała na sobie prostą, białą suknię z długimi rękawami. Jej wąską talię podkreślał gorset haftowany w czerwone róże. Długie, orzechowe włosy spadały falami na jej ramiona. Szła sztywno, z dumnie podniesioną głową.

— *Harda piękność* — przemknęło mu przez myśl.

Ceremonia odbyła się szybko. Kapłan pobłogosławił parę, po czym młodzi złożyli sobie przysięgę. Obydwoje mówili bez emocji, obojętnie. Na koniec obrzędu związano im ręce czerwoną wstęgą: kobiecie prawą, mężczyźnie lewą i uroczystie wyprowadzono ze świątyni w towarzystwie ś chóru, który śpiewał błogosławieństwo dla państwa młodych. Po ślubie zostali zaproszeni na poczęstunek do Domu Kobiet. Oliver zgodził się, chociaż widać było, że propozycja nie przypadła mu do gustu. Mirime milczała dumnie. Medykowi zależało na czasie więc starał się jeść pośpiesznie. Mirime wyczuwając intencje mężczyzny specjalnie przeżuwała każdy kęs powoli i dokładnie, przedłużając posiłek jak tylko mogła. Zaoferowała też miły spacer mężowi, byleby tylko dokuczyć medykowi. O dziwo Oliver z chęcią przystał na propozycję. Ujął za rękę dziewczyny i poszli razem uliczkami ogrodu.

Błądzili po alejkach dość długo, trwając w pełnym napięcia milczeniu. Gdy oddalili się dostatecznie daleko od Domu Kobiet Mirime szybko zamachnęła się lewą ręką kierując cios prosto w twarz medyka. Oliver okazał się jednak szybszy. Chwycił rękę dziewczyny za nadgarstek i wygiął pod dziwnym kątem. Drugą ręką zasłonił usta kobiety, by ta nie mogła krzyknąć.

— Sprytna jesteś, ale nim mnie zabijesz pozwól mi wyjaśnić parę kwestii — rzekł. Po chwili otrzymał odpowiedź. Mirime ugryzła go w palec. Po dłoni mężczyzny pociekła strużka krwi. Oliver zignorował ból i obdarzył dziewczynę chłodnym spojrzeniem.

— Jestem tu na prośbę twojego brata Lucjana — powiedział i puścił rękę Mirime. Odjął również dłoń od ust dziewczyny, gdy ta przestała gryźć jego palec. Dziewczyna wypluła z pogardą krew mężczyzny.

— Skąd znasz mojego brata? — spytała i odsunęła się półkroku w tył.

— Długo by tłumaczyć. Nie czas jednak na to — odparł medyk i rozejrzał się po okolicy badając, czy nikt nie nadchodzi.

— A teraz posłuchaj mnie uważnie...

— Skąd mam wiedzieć, czy mogę ci zaufać? — przerwała mu Mirime i skrzyżowała ręce na piersi. Oliver syknął ze złości.

— Nie mam czasu, by się tobą kłócić. Posłuchasz mnie lub nie — nie obchodzi mnie to. Twój brat poprosił mnie, żebym cię stąd wyciągnął.

— Po co więc cały ten cyrk ze ślubem?! — krzyknęła. Oliver znów zakrył je usta dłonią.

— Cicho — szepnął i przyłożył dłoń do jej ust. — Nie krzycz kobieto. Zależy mi na dyskrecji. Możesz dać mi pięć minut na wyjaśnienia? Potem możesz zrobić co zechcesz, ale daj mi mówić. Dobrze? — Mirime kiwnęła głową. Oliver oswobodził jej usta i westchnąwszy rzekł:

— Nie miej mi za złe tego ślubu. Po prostu zignoruj go, nie wiem, wymaż z pamięci. Cała ta ceremonia to jedynie zachowanie pozorów, formalność. Nie traktuję go poważnie i wcale nie uważam cię za moją żonę, więc i ty nie traktuj mnie jak męża. Jestem medykiem i nie mogłem tak

po prostu cię stąd zabrać. Podlegam pewnym prawom i tak naprawdę to jestem zależy od Rady. Nie sądzisz, że lepiej brzmi: „Oliver Terg ożenił się z piękną damą” niż „Oliver Terg porwał nawróconą złodziejkę z klasztoru”.

— Czyli chciałeś uratować swoją reputację. Tylko dla czego moim kosztem? — odparła gniewnie Mirime.

— Nie sądziłem, że aż tak się tym przejmiesz. Po prostu nie było sytuacji. Z resztą, nie wierzę by ten sakrament miał jakąś moc. Możesz gniewać się na mnie ile chcesz, ale i tak cię stąd zabieram, choć jako obcą mi osobę, a nie żonę.

— Dobrze... — odparła Mirime, ale mówiła to z niezadowolaniem — Niech tak będzie.

— Świetnie. A teraz posłuchaj mnie. Pójdź do swoich komnat i spakuj tylko najbardziej niezbędne rzeczy. Przebierz się w coś wygodnego. Czekają nas wiele godzin jazdy w siodle. Mam nadzieję, że umiesz jeździć konno.

— Owszem, ale nie bardzo rozumiem po co to wszystko... Czyżby wyruszał pan z Drindwa?

— My wyruszamy.

— Jak to my?! — odparła zdziwiona Mirime lekko podnosząc głos.

— Ja, ty i twój brat.

— A co ma wspólnego z tym mój brat? — spytała już prawie krzycząc.

— Znowu zaczynasz krzyczeć — odparł spokojnie Oliver. — Wiem, że nic nie rozumiesz, ale zaufaj mi i zrób to, co ci karzę. — Medyk spojrzał chłodno na Mirime. Dziewczyna wahała się.

— Godzinę po tym, jak słońce sięgnie zenitu będę czekać na ciebie przy wschodniej bramie. Weź dobrego konia, który wytrzyma długą podróż. Dam ci piętnaści minut. Jeżeli nie zjawisz się po tym czasie zrozumieć, że wolisz zostać w Domu Kobiet i pojadę bez ciebie — powiedział i poszedł. Obawiał się, że dziewczyna zostanie w Drindwie. Nie było mu jej jednak szkoda. Szkoda byłoby mu czasu, który zmarnował. No i co powiedziałby Lucjanowi? Może chłopak też zrezygnowałby z podróży? Jego obawy były jednak złudne, bo Mirime stawiała się pod wschodnią bramą punktualnie.

Gdy dotarli do rozdroży, Lucjan już na nich czekał. Stał na poboczu i głaskał chrapy swojego wierzchowca. Na widok chłopaka Mirime zeskoczyła z siodła i podbiegła do niego. Rodzeństwo padło sobie w ramiona. W powietrzu rozległ się ich radosny śmiech.

— Jak pan ją wyciągnął? — spytał Lucjan Olivera, gdy ten zrównał się z nimi. Dziewczyna spojrzała na medyka z obawą. Serce zamarło jej na chwilę.

— Mam swoje sposoby. Mówiłem ci już.

— *Więc jednak nie powiedział mu nic!* — pomyślała i odetchnęła z ulgą.

— Na co ci tyle jabłek? — spytał Oliver dostrzegłszy przytoczony do siodła Lucjanowego rumaka worek wypełniony owocami.

— Ja i Uszatek bardzo lubimy jabłka — odparł radośnie Lucjan i znów pogładził chrapy rumaka.

— Uszatek? — spytał Oliver i zmarszczył brwi. — Lepszego imienia nie było.

— No, bo ma plamkę na uchu. — Rzeczywiście, biały rumak Lucjana miał na prawym uchu czarną łatkę.

— Jest śliczny — rzekła Mirime i pogładziła konia po szyi. Nagle zamarła i skierowała złowieszcze spojrzenie na brata.

— Mam nadzieję, że go nie ukradłeś...

— No co ty siostra!

— Gadaj! Skąd masz konia! — pogroziła mu spojrzeniem i rodzeństwo zaczęło się kłócić.

— To nie jest rodzinny zjazd — powiedział rozgniewany Oliver. Kłócący ucichli natychmiast.

— Traciecie energię na bzdury — ciągnął dalej rozgniewany. — Dosiadajcie koni i jedziemy. Mam zamiar jeszcze dziś dotrzeć do głównego traktu. Czeką nas długa i niebezpieczna droga do Geterry, a leży ona po drugiej stronie znanego mi świata. Ruszajcie się więc! — Rodzeństwo posłusznie kiwnęło głowami i wykonało polecenie medyka. Ruszyli kłusem, a spod końskich kopyt wzbijały się chmury pyłu. Wkrótce sylwetki trzech jeźdźców zniknęły za zakrętem. Tak oto zaczęła się podróż ich życia, chociaż żadne z nich nie przeczuwało jak wiele przygód czeka ich na tej drodze.

Pragnę zadedykować ten fragment osobie, dzięki której znalazłam siłę i odwagę do pisania. Komuś, kto motywował mnie, poświęcał swój czas na rozmowy ze mną, kto łaskawie czyta moje teksty, mimo że jest o wiele lepszy ode mnie...

Kochana Dark! A raczej kochana Oliwio!

Dziękuję Ci za wszystko, a przede wszystkim za wspaniałe ilustracje! Przepraszam Cię też za to, że musiałaś tyle czekać! Mam nadzieję, że w przyszłości Cię nie zawiodę!

Poezje - Ortografia Boża...

Kinga Suchora – laureatka Sceny Młodych w latach:

2011, 2012, 2013

Ilustracje: Klaudia Kozińska



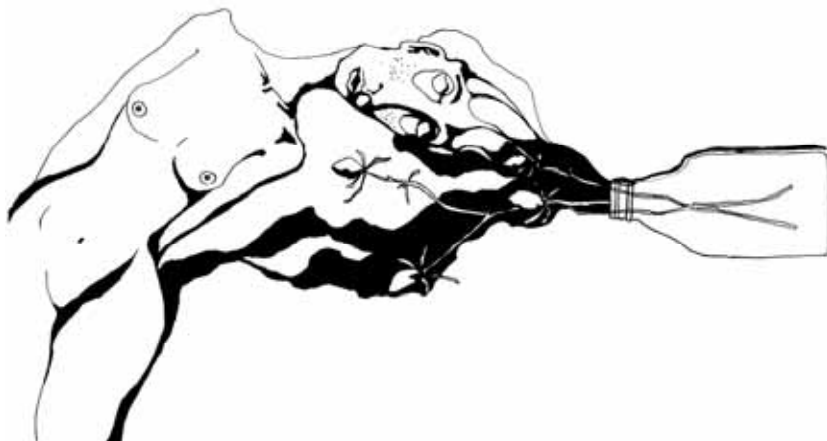
zboże przez „z” z kropką
bo z Boga
trudna ortografia boża
boję się głodu
uprawiam słowa
wyrastają na posadzce
atramentowo złocą się przy lampie
kłosy liter szeleszczą o papier

deistyczny bóg nie zmieścił się
w tożsamość ojca
zbiera z tobą łany
słów

cierpię artystm
tandetnie sznuruję buty
rozczesuję myśli bladym pięciopalcowym grzebieniem
lekceważę litery w słowach
demaskuję kraciastość papieru
coraz rzadziej naświetlam lampą
coraz częściej w symbiozie z milczeniem
odchodzę od zmysłów
to kicz

trzeszczący telewizor rozedrga membranę
rozplynie się ciało
roztraska mur wyrazów
w dudniącą sercem substancję

poskładaj mnie
niestety odpowiedzialnie
zszyj mnie
masz ze mnie materiał
zrób mnie
z namaszczeniem mnie skleć
w ten wiersz



zakochaj mnie niebo
w smutku mnie zachowaj
nakarm mazurki zimą
strzeż punktualności słońca
wybaw kasztany
od wyschnięcia ciała
a nas od mimicznych zmarszczek
bo
uśmieszać jest się nam
trochę
nie w humorze
Panie Boże

pod listem
w prawym dolnym skrawku
czworokątnej samotności
tylko ja
nikt oprócz
nie tlił
miłości
przez takie słowa
szeptu nie szyfrował
w krzyk
za dwukropkiem rząd liter trochę koślawych
gotowych na rozstrzelanie
w szkłe topi się przecinek

zapłacili poecie
za smutne zakończenie



dlaczego czekasz wciąż pod furtką serca
wielkości głowy makówki
z chronologicznie zmieszaną substancją ziarenek
układających się w EKG wspomnień
czuję puls gdy zmrużę oczy
i chyba umieram
jak żyć
skoro w tętnicach szemrzą liście
zlepione błonami bólu
uwalniam myśli
zatykając oddech wczorajszym kasztanem
który spadł z nieba
a ciebie nie przyniósł
razem z nim nie spadłeś mi jak gruszka w kompot
(ale statek mucha zatonął przed północą)
a my
zbyt przezroczyści
łowieni w te same niebieskie sieci
ileś pięt od siebie wśród namacalnych metafor
dlaczego
nie przyturlasz do mnie swoich oczu
albo chociaż dłoni nie prześlesz mi pocztą
małej garstki oddechu w trumience dla biedronki
dlaczego

pomodłę się o wysypianie co wtorek i piątek
a senny sów wyczesze rzęsy
puszyście rozpuchaci się na ścianie
udając aniołka przy łóżku
bo stróż też lubi spać
zbieram jego pióra gdy biegnie za mną
albo mnie szuka
daltonista biedaczek
nie lubi świetlnych sygnalizacji
bankrutuje ogołocony
wyśmiewany od gołębi które przetrwały wojnę
a ja wiję poduszkę na gniazdo dla puchaczy
żeby kanciaste sny nie bolały
tak



Przydarzył się przypadkiem
bardzo prawdopodobnie
zatem który bóg
ulepił go z mydła
na swoje podobieństwo
żaden się nie rozpłynął
ten z dużym brzuszkiem
o konstrukcji tęczy nakazał mu marzyć
nie wie że dzień to dzień
że nocą zawsze noc jest
w słońcu czy w deszczu
rozpływa się
czasem tylko usiądzie
przed telewizorem
o bezwładnym ciele
więziony w fotelu



„kalność”

cierpię na niedomykalność
warg niedopowiedzialność
ruszamy
a nie idziemy
śpimy do góry nogami
najadamy się wstydu
pijemy kielich gorzkości o której już powiedział ktoś
niedomykalni w szepcie
w brzmieniu
ziemskim rejestrze
w oka mgnieniu

i jak o wiele prościej jest

nie do my

a we mnie święta pustka
żywa cisza
którą samotność głosi
pochmurnym wieczorom
homilie o zbliżającym się
końcu świata
parują niewystygłe kałuże
stopionych ludzi z cukru
czekolada skończyła się w sklepach
nielegalna heroina płynie
w papierowych żyłach

a w oknach bez szyb
lalki tańczą w pozytywkach
pluszowy miś oparł główkę
na niemej szybie
i zasnął



była czarna
poplamiona czerwonym winem
pachnąca Chanel
była czarna
wyznaczona świetlikami słońca
upragniona wśród morderców
czarna była
w swej czerwieni
rozpalonych słońcem wschodów
była czarna
nikt jej nie podmienił
i nie wzniecił nikt w niej zła

była

teraz ktoś ją stracił
nie madonna
nie szminka
nie noc
i nie sukienka

- czarna owca

Liście nie potrafią krzyczeć
one wpisały ból
zdeptania
krwioobieg wymieniania
starych na nowe
butów mężów żarówek okien
przywilej umierania
w powodzi na jesień
i mnie na straty spisały

należę do tego świata
gdzie włosy wczepiają się w niebo
i trawa wiązuje stopy
w którym struny świerszczy ciągną za uszy
a oczy przesypują gwiazdy
otwieram płuca na melodię bez kresu
tu zapomnianą
a zamykam ciemność aż załśni
i chmury ulepią światło
trwam
dokonuję
od drzew odrywam duszę
zrastam się z moim cieniem
tchnienie skrzydłami mnie głaszcze
mam nosy szeroko otwarte i rozstapione palce
powietrze ciągnie się i zlewa jak woda
i chlupie w ustach

słońce zlizuje z horyzontu mrok

a płaczę sobie tak sobie
bo mi łzy pozasyszały z czekania
i od suszy spękały mi oczy
wiatr co jutro niósł
mi je wyłuskał
już nie mam czym węszyć ciebie
i czym dotykać nie mam
nie widzę cię
to ciebie nie ma
i tyle
więcej nie
nim nam wiatr oplącze ręce
będziemy jak drzewa
spętani w korzenie
co życie nam będą pobierać
a z gałęzi stworzymy schronienie
byle komu
byle nie siebie
czekać
tyle
nic więcej



